

Naznaczony

Tom 1

Prolog

Na wsi, życie toczyło się powoli. Jak co rano, Egbert otworzył oczy, gdy ze snu wyrwał go ten przeklęty kur. Jakby nie mógł dać mu pospać choćby godziny dłużej.

Zaspany omiółł wzrokiem łóżko, ale jego małżonki już nie było. Tak, nie powinien narzekać. Helda wstała już dawno i zajmowała się gospodarstwem kiedy on jeszcze spał. Ledwo zdążył przetrzeć oczy, a wtedy jakby wezwana jego myślami, właśnie zapukała do drzwi.

- Egbert, wstawaj, ty stary draniu! Śniadanie na stole! Nawet dzieci już wstały!

- Już idę, kochana!

Nie widział jak jego żona kiwnęła głową z uśmiechem i wróciła do kuchni, ale wiedział że tak było. Każdy dzień zaczynał się tak samo. Życie tutaj toczyło się powoli, ale lubił je. Świeże powietrze, zapach słomy o poranku, rosnące z każdym dniem uprawy, prażenie letniego słońca i nawet pianie tego przekłętego kura. Niech Bogowie odbiorą mu głos choć na tydzień, to zostawi hojny datek w świątyni.

Wciąż nieco zaspany wstał z łóżka i przeciągnął się. Helda jak zwykle pomyślała, by nalać mu świeżej wody do misy, by mógł obmyć twarz. Gdy to zrobił, strzepał krople z dłoni i wyszedł do głównej izby.

Jego ukochani już jedli. Jego pociechy i duma siedziały przy stole żwawo machając nogami i łyżkami, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Jedli owsiankę z suszonymi owocami, którą bardzo lubiły. Egbert też za nią przepadał, ale dziś miał dostać coś lepszego.

W powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa, które przyrządzała Helda, stojąc przy palenisku ze stalową płytą zawieszoną na trójnogu. Gdy wyszedł, odwróciła się do niego i uśmiechnęła. W swym fartuchu wyglądała niczym rasowa kucharka.

- No chodź, już prawie gotowe. Potrzebujesz dziś sporo energii.

- A ja kiedy będę jadł to samo co tata, mam? – zapiął Roni, najdrobniejszy z chłopców.

- Kiedy będziesz potrzebował tyle sił co tata – odparła matka. – Tata jedzie dziś na targ sprzedać plony, więc musi mieć dużo sił, ale gdy wróci i przywiezie pieniądze, to każdy dostanie porcję, zgoda?

- Taaaak! – odparła na raz czwórka dzieci. Może i lubiły owsiankę, ale kto nie lubił pieczystego?

Egbert uśmiechnął się widząc tę scenę. Tak spokojną, tak dobrą. Życie tu było proste, ale uczciwie, takie jakie lubił. Podszedł do żony, objął ją w pasie i pocałował delikatnie w policzek, na co prędko go odgoniła gdy przez niego prawie upaść się tłuszcem, ale uśmiech na jej twarzy podpowiadał, że była zadowolona.

Egbert usiadł na swoim miejscu przy stole, między dziećmi, które nie raz rywalizowały o to kto dziś będzie siedział obok taty. Tym razem przypadło na Roniego i Elbę, które wyglądały na dumne z tego powodu. Gdy Helda usiadła do stołu i zaczęła jeść, dzieci jak co rano, z entuzjazmem cechującym młode pokolenie opowiadały już Egbertowi o tym co robiły wczorajszego dnia.

- Wczoraj bawiliśmy się w rycerzy i bandytów – mówił Roni z zapalem - i udało mi się złapać Redy'ego! Kilka razy dostałem kijkiem, ale wygrałem!

- Brawo, synu – powiedział Egbert – tata jest z ciebie dumny.

- Ale potem ja złapałam jego! – zapiszczała Mimi. - Nie miał szans!

- Mówiłam ci żebyś się nie bawiła w takie rzeczy, kochanie – powiedziała Helda. - Musisz robić to co inne dziewczynki, by inaczej chłopcy nie będą się tobą interesować.

- Ale tata mówił, że ty się bawiłaś, mamó, a przecież poznałaś tatę! – odpowiedziała z rozbrajającym uśmiechem.

Helda oparłszy ramiona o biodra, spojrzała na Egberta, który rozłożył ręce w bezradnym geście. Dobrze pamiętał ten dzień. Był jeszcze chłopcem, gdy Helda kilka razy zdzieliła go patykami po głowie. Tak się poznali.

- Tak jakoś wyszło – podsumował swój długi język.

- Miałam szczęście – przyznała Helda – ale łobuzice mają trudniej. Wcinaj owsiankę, bo wystygnie.

- A ja podłożyłem panu Hornowi łąno do butów za to, że ostatnio źle o nas mówił, tato! – powiedział najstarszy syn, Erny.

Widelec, trzymany przez Egberta zatrzymał się w pół drogi do ust, gdy to usłyszał, ale po chwili wybuchnął śmiechem i poklepał syna po ramieniu. Wesołość przerwało jednak wyraźne chrząknięcie Hedy i jej stanowcze spojrzenie.

- To znaczy – poprawił się Egbert – nie powinienesz robić takich rzeczy synu – powiedział stanowczym, karcącym tonem. - Słuchaj się matki.

Heda pokiwała głową, a gdy odwróciła się do paleniska, Egbert nachylił się do syna i szepnął konspiracyjnie.

- W oba buty?

- W dwie pary - odparł, szczerząc się.

Egbert uśmiechnął się szeroko, ale szybko wrócił do jedzenia gdy Heda spojrzała na nich podejrzliwie. I tak śniadanie minęło im w dobrej atmosferze, jak co rano, a niedługo później nadszedł czas przygotowań do podróży.

Egbert wyszedł z chaty i poszedł po muła do zaprzęgnięcia wozu, a chwilę później cała rodzina pakowała już plony. Jak zwykle pomagali wszyscy, nawet drobny Roni, choć wyjątkowo słabowity, pomagał przenieść choć kilka główek kapusty. Wkrótce załadowali po brzegi cały wóz. Burakami, ziemniakami, kapustą, truskawkami, jabłkami, gruszkami i workami z pszenicą.

Egbert przytulił każde z dzieci na pożegnanie, a na końcu objął i pocałował żonę.

- Tylko pamiętaj żeby wrócić przed zmrokiem – przestrzegła go. – Drogi są bezpieczne, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Pamiętam, kochana, pamiętam, ale gdyby byli kupcy...

- Bez wyjątków – pogroziła mu palcem. – Nie warto ryzykować dla kilku sztuk srebra. Co zostanie to i tak zjemy. Nic się nie zmarnuje.

Egbert uśmiechnął się i kiwnął głową żeby już się nie martwiła.

- Dobrze już dobrze. Wrócę zanim się ściemni.

- No – odwzajemniła uśmiech.

- A czy w mieście będą jakieś ładne lalki, tato? - zapytała go jedna z córek, pięcioletnia Mimi.

- Na pewno – odparł. – Zobaczą, gdy będę miał wolne. Może przypadkiem jakaś wpadnie mi do wozu...

Dziewczynka zapiszczała z radości, a zaraz kolejne dzieci dołączyły swoje prośby, które jednak ucięła Helda.

- No już, nie męczcie ojca, mamy ważniejsze wydatki. Pomyślimy o przyjemnościach kiedy wróci.

- Doobrze, mamó – odparły chórem, ale uśmiech taty wciąż dawał im nadzieję na szybszą realizację ich skromnych marzeń.

- Czas na mnie – powiedział Egbert, siadając na wozie i biorąc w dłonie lejce. – Bądźcie grzeczni póki nie wrócę! I pomóżcie mamie w pracy.

Dzieciaki odpowiedziały chórem i machały mu gdy odjeżdżał. Cała rodzina stała przed chatą do czasu aż zniknął za zakrętem, a potem wrócili do swojego codziennego, prostego życia.

Gdy wyjechał na trakt, od razu zaczął nucić swoją ulubioną piosenkę. Zawsze towarzyszyła mu w drodze do miasta i była mu niczym wierny, lecz niemy kompan. Jechał dobrze uklepaną drogą, po której obu stronach rosły soczyste zielone drzewa, a za nimi widać było ogromne, złociste pola pszenicy, sady, oraz chaty innych rolników. W ten piękny, letni dzień widok był nad wyraz urokliwy.

Otoczony zapachem natury, polnych kwiatów i smagany lekkim, rześkim wietrzykiem po trzech godzinach zajechał w pobliże miasta. Pont było jednym z większych miast tej części królestwa, wokół którego skupiało się wiele wiosek, podobnych do tej, w której mieszkał Egbert. Była to wyjątkowo spokojna okolica, a w królestwie od wielu lat panował pokój, więc okoliczni mieszkańcy cieszyli się na każde urozmaicenie ich codziennego życia, w którym mogli wziąć udział. Dzisiaj był nim wyczekiwany przez wszystkich Wielki Targ, ściągający do miasta ludzi z okolicznych wsi, jak i kupców z innych miast, którzy byli gotowi sprzedać im swoje egzotyczne (jak dla nich) towary.

Już teraz Egbert widział liczne wozy podążające traktami do miasta, zaś przy bramie dostrzegł znajomą mu twarz. Gdy Egbert skończył swoje dwudzieste urodziny, Bosne był jeszcze młodym chłopcem. Tak jak wielu innych pragnął przenieść się do miasta, lecz nie wszyscy dobrze na tym wychodzili. Zapominali skąd pochodzili i nie raz patrzyli później na swych dawnych sąsiadów jak na śmierdzące psy, z którymi nie chcieli mieć nic wspólnego. Bosne jednak był inny. Nigdy nie zapominał twarzy wśród których dorastał i choć żył już inaczej niż

kiedyś, to wciąż pozostał tym samym młodzieńcem, którym pamiętał go Egbert, gdy z tobołkiem na plecach ruszył traktem do miasta. Dobry chłop. Swój chłop.

- O dobrej porze przyjechałeś, Egbercie! – zawołał Bosne, gdy zajechał do niego ze swym wozem. - Dziś wielkie tłumy na targu, z całej okolicy się zjechali. W strażnicy mówili, że podobno spora grupa ma przyjechać od wschodu, a póki co mało tam rolników, więc jak się tam rozstawisz, to sporo sprzedasz.

Egbert uśmiechnął się i skinął mu głową z wdzięcznością.

- Dziękuję. Dobry z ciebie człowiek, Bosne. Trzymaj – powiedział, po czym wręczył mu dwa soczyste jabłka, najlepsze z jego sadu, oraz koszyk truskawek, które tak lubiła jego wybranka. Strażnik przyjął je z szerokim uśmiechem.

- Egbertowe jabłka? Zawsze je lubiłem.

- Pamiętam. Ile razy goniłem cię z sadu z łagą gdy je podbierałeś?

Bosne roześmiał się.

- Trochę tego było i dzięki za truskawki. Ella się ucieszy. Mało ich tu u nas w mieście.

Egbert pokiwał głową.

- Na zdrowie, Bosne, na zdrowie. Jadę już zająć to miejsce. Niech błogosławieństwo bogów zawsze nad wami czuwa.

- I nad tobą Egbercie i twoją rodziną.

Pożegnawszy się z Bosne'm, Egbert przejechał przez bramę i skręcił w prawo w stronę wschodniej bramy. Mimo wczesnej godziny w mieście już wrzało. Wielki targ przyciągał nie tylko kupców i rolników, ale również ich klientów, którzy wiedzieli, że jeśli się spóźnią, to ktoś sprzątnie im najlepsze kaski sprzed nosa. Tak więc, Egbert mijał licznych kupców rozstawiających się w okolicy, jak i mieszkańców, ciekawych co też tym razem im pokażą. Dzisiejszy dzień był dobry dla wszystkich i było to widać. Dobry humor, który towarzyszył mu od rana udzielił mu się jeszcze bardziej, więc rzucił kilku dzieciakom po garści truskawek.

Niedługo później, rozstawił się ze swoim wozem w wybranym przez siebie miejscu, rozłożył towary podzielone na pudełka i kosze i czekał. Wkrótce zaś, zgodnie ze słowami Bosne'go, pierwsze tłumy przeszły przez wschodnią bramę i zaczął się czas intensywnej pracy. Bywalcy targu zagadywali go, próbowali jego warzyw, owoców i pszenicy, by ocenić ich jakość i przede

wszystkim kupowali. Tegoroczny targ prędko okazał się dla Egberta wielkim sukcesem. Dzięki radzie Bosne'go, wszyscy przybyli od wschodu widzieli jego towary jako jedne z pierwszych, więc miał idealne warunki do sprzedaży co skrzętnie wykorzystał.

Pracował ciężko aż do samego wieczora, gdy zaczęło się ściemniać, a targ powoli zaczął się zmieniać w nocną zabawę. Egbert spojrzął w niebo i ocenił, że nie uda mu się wrócić przed zmrokiem, więc nie miało znaczenia o której wyjedzie. Utarg miał tak dobry, że chciał obdarować swoich bliskich, kupić im jakieś drobiazgi, może zabawki dla dzieciaków. W Pont zawsze mieli ciekawe rzeczy, czasami nawet ze stolicy, a Bosne też zasłużył na dodatkowy wyraz wdzięczności. Załadował więc pozostałe, nieliczne towary na wóz i ruszył w głąb miasta.

Najpierw zatrzymał się przy kramie z biżuterią. Nie było go stać na nic wyszukanego, ale kolorowa, pleciona bransoletka na pewno sprawiłaby przyjemność Heldze. A może naszyjnik z tych ładnych, morskich koralu, gdyby udało mu się utargować dobrą cenę? Zasłużyła za wszystko co robiła.

Szukając tych jak i innych upominków spędził na targu jeszcze sporo czasu. Na tyle dużo, że noc całkowicie zapadła już nad miastem, a gdy miał już kupić prostą, drewnianą lalkę dla Mimi, usłyszał coś co kompletnie nie pasowało do aury dzisiejszego dnia.

Krzyk. Za nim. Natychmiast obrócił się za siebie, a wtedy wryło go w ziemię.

- Co na bogów... - wyrzucił z siebie w szoku, po czym prędko wypadł ze sklepu.

Kupiec, który wyszedł za nim, również wezwał bogów, wspierając prośbę pobożnym gestem jakby chciał nim odpędzić to co zobaczył. Dostrzegł kobietę leżącą na ziemi i błagającą o litość. Nad nią stał mężczyzna, który kopał ją bezlitośnie. Uderzenia spadały na brzuch, w żebra, na głowę. Było jasne, że jeśli nikt go nie powstrzyma, zakatuje ją na śmierć, ale tym co sprawiło, że zarówno Egbert jak i kupiec poczuli dreszcze na całym ciele była czerwień. Oczy mężczyzny, który ją bił, płonęły szkarłatnym blaskiem, który dostrzegli, gdy się do nich odwrócił, ale nawet nie to poraziło ich najbardziej, a wszechobecne czerwone światło. Po niedawnym mroku nocy nie było już śladu. Wszystko tonęło w czerwieni, jakby wielka lampa zapłonęła nad miastem lub słońce zmieniło barwę i oświetliło świat szkarłatem.

Nagle usłyszeli inne krzyki, ogniska paniki wybuchające z każdej strony i z każdego miejsca. Egbert rozejrzał się i dostrzegł, że to samo dzieje się ulicę obok, na kolejnej i na głównym targu też, wszędzie. Ludzie o czerwonych oczach rzucali się na siebie i okładali się czym popadło. Pięściami i pałkami, ale też nożami, mieczami i toporami, wszystkim co mieli pod ręką.

Mężczyzna, który katował kobietę, zostawił ją i ruszył na Egberta, ale nim do niego dotarł, jego niedoszła ofiara jakimś cudem wstała i zadźgała go od tyłu leżącym na ziemi nożem. Egbert patrzył na to z przerażeniem. Teraz to kobieta szła na nich, ale nim ich dosięgnęła, zabił ją ktoś idący obok i poszedł dalej, a potem rzucił się na kogoś innego. Krzyki. Wszędzie ogłuszające krzyki. Chaos, szaleństwo i śmierć.

- Bogowie, księżyc... - powiedział przerażony kupiec, który wyrzał spod zadaszenia pod sklepem. – Księżyc jest czerwony, co się...

Nie było mu dane dokończyć. Chwycił się za głowę i zaskowyczał, upadając na kolana. Egbert cofnął się przerażony, gdy na jego oczach kupiec wstał i spojrzał na niego szkarłatnymi oczyma. Egbert chciał uciec do sklepu i zabarykadować się jak nakazywał mu instynkt przetrwania, ale gdy tylko się odwrócił, jakaś kobieta przeszła go mieczem. Zobaczył ją jeszcze nim umarł. Miała na sobie biały fartuch i czapkę, żona lub pomocnica piekarza.

Wyciągnęła ostrze, a Egbert upadł. Nie widział już jak rzuciła się na kupca, a on na nią. Zabili się oboje.

Egbert leżał, czując jak jego członki słabą. Czuł jak chłód obejmuje jego ciało co raz bardziej, z każdą chwilą. Kątem oka widział ulicę, na której miały miejsce kolejne mordy, a czerwień płynęła ulicami. Wciąż ścisnął w dłoni lalkę dla córki. Dobrze, że nie zabrał jej na targ jak chciała... to była jego ostatnia myśl nim skonał. Umarł, a nikt z biegnących obok, ogarniętych żądzą mordy szaleńców nie zwrócił uwagi na jego ciało.

Tylko bogowie patrzyli. Patrzyli jak ludzie wyrzynają się w szaleństwie, jak skąpani w przeklętym czerwonym niczym krew świetle zabijają swoje dzieci, matki, ojców, braci, siostry, ukochanych i zupełnie przypadkowych ludzi. Jak taranują drzwi i przebijają się do domów barykadujących się tam ludzi, jak wchodzą przez okna, raniąc samych siebie o wystające szkło.

Widzieli jak w królestwie Erat, panującym na tych ziemiach, niezwyciężonym od setek lat, niepokonany król pada na ziemię, zadźgany przez służących na przyjęciu w ogrodzie. Nie mogli nic zrobić, tylko patrzeć jak kraj rozpada się na ich oczach, teraz jak i później, w chaosie i walce o władzę po niespodziewanej śmierci króla. Chaosie który dotknął wszystkie ziemie, w każdym kraju, w każdym mieście, każdej wiosce, na każdej drodze. Dantejskie sceny objęły tej nocy cały świat, a ci którzy przetrwali, nie mogli uwierzyć, gdy nastał ranek. Stosy zwłok jakich nie widziała największa wojna, jakich nie opisała historia, spustoszenie jakiego nie dokonała najstraszliwsza zaraza. Tego dokonał księżyc i jego szkarłatne światło. Tej nocy dziesiątki

milionów istnień zginęło bezsensowną śmiercią. Śmiercią, która nie powinna nadejść. Śmiercią która nadeszła zbyt szybko.

A to był dopiero początek.

Później księżyc się zmienił. A potem jeszcze raz i jeszcze wyciągając na wierzch ludzkie słabości. Każda barwa wywlekała na wierzch inną, a potem znów tę samą w powracającym cyklu barw, który obnażał ich dusze aż w końcu przekonali się, że świat nie należał już do nich, a modły do bogów nie mogły im pomóc. Teraz to księżyc był ich panem, a oni jedynym co mogli zrobić, to żyć w jego cieniu i dostosować się do jego rytmu.

I tak świat zaczął się zmieniać.

Rozdział 1

Tysiąc lat później.

Reyn od dwóch tygodni tropił już bandę Darsena. Szło mu całkiem sprawnie, mimo że byli naprawdę niezli w skrytym przemykaniu przez lasy i unikaniu faz księżyca, które mogłyby ich spowolnić. Jednakże mimo ich starań, wyglądało na to, że dzisiaj w końcu wszystko się rozstrzygnie.

Darsen był przywódcą jednej z okolicznych band zbójców, które to ostatnimi czasy zmuszały kupców do wynajęcia znacznie większej eskorty niż kiedyś. Tym razem jednak, rozzuchwalili się tak bardzo, że napadli na jedną z posiadłości w pobliżu miasta i ograbili ją do cna, zabijając przy okazji małżonkę pana domu, a dokładniej rzecz ujmując, zabił ją i zgwałcił na jego oczach właśnie Darsen, który potem zabił jego syna i córkę, a jego samego zakatował niemal na śmierć, by wydobyć z niego położenie wszystkich skrytek w posiadłości. Połamał mu przy tym wszystkie palce, którymi na to wszystko zarobił, a na koniec wbił nóż w brzuch celując w nasienie życia i zostawił na śmierć. Gdy później wychodził już z posiadłości obładowany łupami, był pewien, że nie pozostawił żadnych świadków.

Był w błędzie.

Ranny elyta przeżył mimo krytycznych obrażeń i uszkodzenia nasienia życia, które już samo w sobie powinno go zabić. Przeżył, trzymając się życia samą siłą woli, a gdy później go odnaleziono, jedynymi słowami, które wciąż powtarzał było imię jego oprawcy, który łaskawie mu je wyjawiał nim wbił w niego nóż. Rzecz jasna, sprawa została zgłoszona miejscowym

władzom, lecz ranny Dietreg wiedział, że mieli ostatnio wiele na głowie. Mogli nigdy nie zająć się jego sprawą lub zrobić to tak późno, że morderca będzie już dawno poza zasięgiem prawa, a on nie zamierzał czekać. Nie chciał liczyć na cud. Nie, gdy sceny mordu i gwałtu raz za razem rozgrywały mu się przed oczami. Chciał mieć pewność, że sprawiedliwości stanie się zadość, bo inaczej nigdy nie uda mu się z tego otrząsnąć. Dlatego też wynajął „Cichą śmierć” Reyna i poprosił przyjaciół o pomoc, którzy opłacili jego honorarium i dlatego właśnie, śmierć wpatrywała się teraz w Darsena i jego grupę swymi żółtymi, drapieżnymi oczami.

Zbójców było dwudziestu, z czego większość z nich stanowili amaryci, dobrze zbudowani mężczyźni średniego wzrostu o czerwonawej karnacji, pośród których znajdowały się dwie kobiety, oraz kilku szczupłych madran o ciemnoszarym, acz nieregularnym odcieniu skóry, sprawiającym wrażenie jakby przed chwilą wyszli z kopalni. Wyglądało na to, że ostatnio odnieśli sporo sukcesów, sądząc po łupach, które wieźli na koniach. Świadczyły o tym liczne worki przerzucone przez kulbaki, z pewnością pełne złota, jedzenia, jak i towarów, które zamierzali później sprzedać, lecz najciekawiej prezentował się łup przywódcy, który wiozł za sobą związanego i przerzuconego w poprzek jeńca, ale jakiej rasy, Reyn nie potrafił ocenić z tej odległości, a worek na głowie dodatkowo to utrudniał.

Może dzisiaj będzie w końcu okazja - pomyślał, obserwując ich. - Nie chcę mi się dłużej chodzić po tym cholernym błocie.

Jeśli o niego chodziło, to zdecydowanie bardziej wolał korzystać z zarobionych pieniędzy niż przechodzić po raz kolejny, ten niejednokrotnie żmudny proces tropienia ofiary - zwłaszcza, gdy musiał podróżować zmoknięty i zmarznięty, tak jak ostatnio. Kilukrotnie zastanawiał się nad podjęciem próby zamachu, gdy rozbijali obóz na noc, ale dobrze się pilnowali, a atak na dwudziestu ludzi nawet dla niego byłby ryzykowny. Liczył na to, że pojedą do któregoś z miast, by sprzedać łupy lub do kryjówki, by część z nich ukryć, a że w okolicy żadnego miasta już nie było, to teraz na pewno kierowali się ku opcji drugiej. Oba warianty mu odpowiadały, chodziło tylko o to by się rozdzielili, tak by mógł na końcu zabrać dowód wykonanej pracy.

Reyn zmrużył oczy leżąc na mokrej trawie, gdy banda zaczęła znikać w zaroślach. Gdy liście drzew skryły ostatniego z nich, zszedł ze wzgórza i ostrożnie ruszył za nimi. W taką pogodę śledzenie ich nie było najmniejszym problemem. Nie, gdy był tak blisko, a ich wierzchowce dzięki dodatkowemu obciążeniu mocno wbijały kopyta w ziemię. Po kilku minutach minął płytki strumyk, a gdy spojrzął na kolejne wypełniające się wodą ślady, usłyszał w oddali głosy.

Natychmiast przywarł plecami do najbliższego drzewa, oddzielającego go od źródła dźwięku i zaczął nasłuchiwać.

Głosy nie poruszały się, to było pewne, więc nikt go nie zauważył. Rozejrzał się czujnie po okolicy, przesuwając wzrokiem po rysujących się przed nim wzniesieniach, drzewach i mokrych krzakach, a potem dobył krótkich mieczy z pochew na plecach i ruszył przed siebie. Im bardziej zbliżał się do źródła dźwięku, tym więcej słów wyłapywał, a gdy znalazł się za szerokim krzakiem i przez liście dostrzegł dwóch szczupłych madran, słyszał już każde ich słowo. Nawet jak na przedstawicieli ich rasy, byli bardzo szczupli, a grube płaszcze, które nosili narzucone na jasne tuniki najwidoczniej nie zapewniały im ciepła, bo trzęśli się jak osiki.

- Cholerny Darsen - psioczył jeden z nich. - Oni tam sobie chłają i uczują, a my musimy stać na czatach! Jakby ktoś miał tu przyjsć! Dobrze sobie. Pomiata nami jak psami.

- Nie narzekaj - zganił go jego towarzysz. - Czego zresztą oczekiwałeś? Niedawno dołączyliśmy do bandy, a w każdym miejscu na samym początku dostaje się psie zadania. Spisz się dobrze, to wyjdiesz spod stołu.

- No niby taaa... ale widziałeś tę dzierlatkę co ją złapali? Ale mnie korci... ale pewnie jak ją wszyscy tam wezmą, to dla nas nic już nie zostanie. Po tyłu chłopa, to nawet ja bym jej nie tknął.

- Twoja sprawa. Ja tam wezmę jak dadzą.

Według oceny Reyna, ci dwaj madranie byli jeszcze młodzi. W ich społeczności, na pewno nie byliby uznani za dorosłych, a sądząc po ich postawie, byli też bardzo niedoświadczeni i nieuważni. Mógłby ich zabić jednym palcem, ale nawet oni mogliby zdążyć wydać z siebie alarmujący skrzek, który mógłby ściągnąć niepotrzebną uwagę gdyby choć jeden z ich kamratów znajdował się w pobliżu. Kierując się więc pierwszą zasadą każdej udanej akcji, postanowił najpierw sprawdzić swoje otoczenie. Z tą myślą ruszył ostrożnie wzdłuż gęstych krzaków, obchodząc ich po łuku i słuchając jak nadal plotą trzy po trzy.

Poruszał się zwinnie, przemykając od drzewa do drzewa. Wciąż pochylony pozostawał pod osłoną lasu, a gęste krople deszczu kapały z liści na jego twarz i ubranie. Żadna gałązka nie pękła pod jego stopami, żaden listek nie zaszeleścił, żadne zwierzę nie spłoszyło się na jego widok. Poruszał się jak w tańcu. Tańcu śmierci, który z każdym krokiem przybliżał go do jego ofiary.

Mijając kolejne drzewa i parowy zauważył kształtującą się przed nim formację skalną. To tutaj musieli mieć swoją kryjówkę i na pewno byli w pobliżu jeśli zostawili tamtych dwóch na czatach. Reyn podejrzewał, że jeszcze by się zgubili gdyby Darsen kazał im samodzielnie pokonać zbyt dużą odległość. Trzymając się gęstych zarośli, ruszył dalej i po chwili dostrzegł to czego szukał. Wejście do jaskini nie było w żaden sposób zamaskowane, zaś dwóch bandytów stojących po obu stronach ewidentnie wskazywało, że trafił w dobre miejsce. Jednakże wkradnięcie się do środka niepostrzeżenie byłoby bardzo trudne nawet dla wprawnego złodzieja, a to ze względu na sporą polanę rozchodzącą się na kilkadziesiąt metrów, w każdą stronę od wejścia. Po prostu nie było gdzie się ukryć, a ktokolwiek by się na niej pokazał, natychmiast zostałby zauważony. Atak z góry również wydawał się niemożliwy. Na stromej ścianie nie dostrzegł żadnej skalnej półki, której mógłby się złapać.

Ale to nie był dla niego żaden problem.

Po kolei, najpierw tamci - upomniał się, gdy ręka zaświerbiła go, by sięgnąć po łuk. Nauczony doświadczeniem wiedział, że najlepsza metoda by zapobiegać kłopotom, to ich bezlitosna eliminacja zawczasu. Nie wiedział jak długo tamtych dwóch miało stać na czatach, ani jak wielka jest jaskinia. Równie dobrze możliwe, że będzie musiał się tam trochę pokręcić nim znajdzie swój cel, a nie trzeba mu wtedy dodatkowych przeciwników, którzy w dodatku odkrywają, że ich koledzy przy wejściu gdzieś zniknęli. Dla zabójcy, cierpliwość była równie ważna co umiejętności, dlatego cofnął się nieco i postanowił przeszukać drugą stronę lasu, w poszukiwaniu kolejnych czujek.

Po kilku minutach upewnił się, że tamtych dwóch musiało być jedynymi, których Darsen zostawił tak daleko od jaskini. Zapewne uznał, że gdyby ktoś ich zabił to żadna strata, ważne by zdołali krzyknąć, by pozostali przy wejściu ich usłyszeli.

Próżny jego trud. Już on się postara by tego nie zrobili.

Gdy zbliżył się do nich, bandyci nadal rozmawiali i narzekali. Dzięki zwiadowi, który przed chwilą zrobił zaszedł ich od tyłu, więc nawet się nie spodziewali, że ktoś może ich zająć od strony jaskini. Patrzyli na siebie lub przed siebie, rozmawiając o wszystkim i o niczym do samego końca aż Reyn dobył sztyletów przy pasie i zniknął w chmurze ciemnego dymu. Pojawił się tuż za ich plecami i zabił na miejscu szybkimi sztychami w szyję. Nie mieli szans choćby jęknąć. Gdy padli na ziemię, dusząc się zalewającą ich krwią, Reyn dobił ich szybkim sztychem w serce i zaciągnął w gęste krzaki.

Dalej.

Ruszył w stronę jaskini. Na miejscu, tak jak poprzednio zauważył tych samych strażników, którzy tym razem zajadali się kawałkiem pieczonego udźca. Widocznie ich towarzysze w środku już świętowali ostatnie sukcesy.

Tym lepiej dla mnie. - skomentował w myślach, wiedząc, że to ich rozproszy jeszcze bardziej, po czym sięgnął po łuk. Nałożył strzałę na cięciwę, skoncentrował się, wymierzył i wypuścił.

Gdy tylko pocisk pomknął do celu, natychmiast chwycił za sztylet przy pasie i zniknął w kłębie ciemnego dymu, przenosząc się w kierunku strażników. Pojawił się za nimi w tej samej chwili, gdy strzała przeszła głowę jednego z nich, a ułamek sekundy później poderżnął gardło drugiemu.

Bezlitosna perfekcja. Całość trwała tyle co mrugnięcie okiem. Gdy obaj bezgłośnie dokonali żywota, Reyn odciągnął ich w gęste krzaki i ukrył przed niepożądanym wzrokiem. Gdy skończył, zbliżył się do wejścia i nadstawił ucha.

Nikt się nie zbliżał. Słyszał jedynie rozmowy i śmiechy objadających się i pijących bandytów, sądząc po brzdęku butelek. Wewnętrzny korytarz był ciemny i nieoświetlony co sprzyjało jego zadaniu. Nie tracąc więc czasu ruszył przed siebie.

Z każdym krokiem odgłosy ucztowania stawały się co raz głośniejsze, a do mroku korytarza co raz bardziej wlewało się jasne światło ogniska, które po chwili dostrzegł w całej okazałości. Znajdowało się na środku sporej pieczary, otoczone rozradowanymi bandytami siedzącymi wokół i piekącymi swe porcje mięsiwa. Żaden z nich nawet nie spojrział ku wejściowemu korytarzowi, każdy z nich ufał swoim kompanom i każdy z nich popełniał błąd. Buchający płomień dobrze rozświetlał twarze siedzącej przy nim piątki amarytów i trójki madranów, rechoczących co chwila i wrzucających ogryzione kości do ognia.

Nie ma Darsena - stwierdził Reyn, poszukując znajomej twarzy - musi być gdzieś w środku.

Teoretycznie mógłby ich wszystkich zabić, by nie zwalili mu się potem na głowę, gdyby coś poszło nie tak, ale nie dałby rady tego zrobić po cichu. Narobiłby hałasu, a Darsen mógłby uciec innym wyjściem jeśli takie było. Nie wiedział, nie znał każdej pieprzonej podziemnej dziury jak własnego domu, ale wystarczyło, by istniała taka możliwość, by pomyślał o innym planie.

Po prostu ich ominie.

To co dla nie jednego byłoby trudne, dla niego ze względu na jego umiejętności, było banalne. Zwyczajnie przekradł się przy ścianie, starając się ukrywać za fragmentami skał leżącymi tu i ówdzie, a gdy dostrzegł przejście do kolejnego korytarza, do którego drogę oświetlał płomień ogniska, ponownie zniknął w chmurze czarnego dymu, całkowicie niewidocznej w ciemnościach, w których się ukrywał. Pojawił się poza zasięgiem światła i nie oglądając się za siebie, od razu ruszył do przodu. Bandyci za nim wciąż śmiali się tak jak wcześniej.

Przyspieszył kroku, by jak najszybciej przejść długi, roztaczający się przed nim korytarz. Licząc zabita czwórkę i ósemkę przy ogniu, kolejna ósemka znajdowała się gdzieś dalej. Nie dostrzegł wcześniej żadnej z dwóch amarytek, które mogły być teraz ze swoimi kochankami lub z hersztem. Jeńca także nie widział, a że ani amaryci, ani madranie nie widzieli zbyt dobrze w ciemności, to na pewno nieśliby pochodnie, co ponaglało go do pośpiechu, bo w tak ciasnym pomieszczeniu nie mógłby się ukryć przed światłem.

Gdy tylko opuścił wąski korytarz, trafił do kolejnej, szerokiej jaskini, gdzie ku swemu zdziwieniu, w ścianie po prawej stronie zauważył dowód na to, że bandyci zadomowili się tu na dobre - solidne drzwi oddzielające go od innej części grotu.

Gdy tylko się do nich zbliżył, od razu usłyszał dziwne głosy, a raczej dźwięki. Bez problemu rozpoznał w nich odgłosy kochanków, a ściślej rzecz ujmując, gwałtu. Mężczyzna rzucał obelgami i ubliżał kobiecie, która z całych sił starała się być cicho, a jedynie cichy jęk czasami wyrwał się z jej ust, niemal zagłuszany przez brutalne uderzenia ciała o ciało. Co prawda, Reyn nie miał w sobie nic z podglądacza, ale jego cel mógł tam być czego nie mógł zignorować. Zbliżył się więc do drzwi i obejrzał je fachowym okiem.

Wyglądały na proste, ale i nowe, istniało więc duże prawdopodobieństwo, że zawiasy nie zaskrzypią jeśli otworzy je ostrożnie. Sama sytuacja w środku także sprzyjała temu, by jego cel jeśli tam był, nie zwrócił na niego uwagi. Rozejrzał się prędko na boki, a gdy nikogo nie zauważył, nacisnął klamkę. Odgłosy stały się donośniejsze, ale nic się w nich nie zmieniło, więc otworzył drzwi szerzej i zajrzał do środka.

Muskularny mężczyzna klęczał za pochyloną na ziemi kobietą, oddając się rozkoszom. Reyn nie mógł zobaczyć jego twarzy, ale tylko jedna osoba ze zbójckiej bandy nosiła tak długie rude warkocze, które były też jego znakiem rozpoznawczym. Tak więc, miał go przed oczami - Darsena Czerwonego, cel za który jego klient zaoferował mu naprawdę sporą sumkę złota. Może gdyby nie zabił „przypadkiem” jego żony podczas rabunku posiadłości, to Reyn nie stałby teraz za jego plecami ze sztyletem w ręku, nie uśmiechałby się właśnie drapieźnie, nie

znikał w kłębie dymu i nie pojawił się tuż za nim, a zimne ostrze nie przeszłoby mu właśnie szyi. Darsen charknął tylko, ale nic więcej nie zdążył powiedzieć, gdy Reyn zakrył mu dłonią usta, a drugą dźgnął jeszcze w serce, by szybciej szczeł. Kobieta początkowo nawet nie zwróciła na nic uwagi, dla niej Darsen po prostu się zatrzymał, a jego charknięcie było niczym więcej jak kolejnym czymś, co bez przerwy z siebie wyrzucał.

Gdyby zleceniodawca Reyna nie potrzebował dowodu wykonania zadania, to tak mogłoby się to skończyć. Wycofałby się, nim zorientowałaby się w sytuacji, ale dowód był potrzebny, a nie mógł mu odrąbać głowy, nie zwracając jej uwagi. Odepchnął więc od niej jego bezwładne ciało, popukał ją palcem w plecy, a gdy odwróciła się, a jej oczy niemal wyszły z orbit na jego widok i leżącego trupa, ogłuszył ją mocnym ciosem w twarz, by nie zaczęła hałasować. Taka praca. Nie było w niej miejsca na skrupuły.

Gdy upadła nieprzytomna, cofnął się do martwego i przystąpił do swego krwawego dzieła. Gdy po chwili skończył, a głowa Darsena wylądowała już w worku, ponownie spojrzał na leżącą.

Nie każda kobieta szefa bandyckiej szajki musiała być jeńcem. Mogła być jedną z nich, lecz nie sądził by tak było w tym przypadku. Może i była amarytką, ale liczne siniaki na ciele i łzy na twarzy upewniły go, że była jednym z licznych łupów bandy i nie czekało ją tu nic dobrego. Być może gdyby był jednym z tych tagrańskich wędrowców, to by ją uratował. Uspokoił ją i powiedział, by była cicho, zabił wszystkich na drodze do wyjścia, wyprowadził i zwrócił jej życie, które jej odebrali, zyskując jej wdzięczność do końca życia. To wszystko było w jego mocy, ale żadna z tych rzeczy nawet nie przeszła mu przez myśl. Nie był tagrańskim wędrowcem. Był zirinem, członkiem jednej z najbardziej nienawidzonej rasy w krainach. Rasy, która zapracowała sobie na swoją niesławę zabijając i kradnąc na potęgę, na zlecenie i nie tylko. Ich umiejętności skoków przez dym jak je nazywali, pozwalała im przenosić się na odległość kilku metrów, jeśli tylko widzieli cel swej podróży. Żadne zabezpieczenia nie były dla nich problemem, żadni strażnicy, tak długo jak widzieli choć skrawek miejsca, w którym chcieli się znaleźć. Byli stworzeni do włamywania się i zaskakiwania swych ofiar i wielu do tego właśnie wykorzystywało tę moc. Reyn jednak był inny. Trochę.

Pomyślał, że stworzy własną niszę i zacznie polować na tych, których najtrudniej było złapać. Kto inny lepiej by się do tego nadawał i lepiej znał naturę swych celów, jeśli nie członek tej samej rasy? Nie było między nimi sentymentów, tak jak inni ich nienawidzili, tak i oni sami nie potrafili siebie znieść. Nigdy nie współpracowali, byli samotnikami, a Reyn przekonał się,

że da się wykorzystywać swoje umiejętności w inny sposób, do tego porządnie zarobić, a przy okazji zdobyć jeszcze nieco korzystnej reputacji, która potrafiła otworzyć nie jedne drzwi.

Dlatego ich zabijał, złodziei, zabójców i morderców, na których wyznaczono nagrody lub inne cele, które zaszyły komuś za skórę. Dlatego został łowcą nagród, ale ów łowca nie był bohaterem. Nadal miał w sobie krew, która wzbudzała w innych niechęć i nienawiść. Lepsza droga nie sprawiła, że dowiedział się czym jest empatia, nie zrozumiał nagle innych ras i pojęcia bezinteresowności. Nadal był samotnym wilkiem, który myślał tylko o sobie i o przetrwaniu.

Pewnie pomyślał, że to ona go zabiła - przemknęło mu jednak przez myśl, patrząc na jej drobne, nagie, leżące ciało. Nieważne, że była słabsza. Żaden mężczyzna w chwili uniesienia nie myśli o sztylcie, który może przeszyć mu gardło. A co zrobiła z głową? Kto wie? Wezmą ją po kolei, a potem brutalnie zakatują, taki jej los.

Nie był bohaterem.

Gdy odwrócił się do wyjścia z workiem na ramieniu, jeszcze raz na nią spojrzał i zmrużył gniewnie oczy, zły sam na siebie, po czym wrócił do leżącego ciała, dobył ponownie sztyletu i wyrył na piersi przywódcy swój znak - krwawe „R”. I tak dowiedzą się, że to on go zabił. Łowcy nagród chwalą się swoją listą, bo inaczej nie mogliby efektywnie negocjować kontraktów.

Gdy skończył swe dzieło, schował nóż do pochwy. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić, teraz nie zrzucą na nią winy za to co zaszło. Nadal ją wykorzystają, ale nie powinni od razu zabić. Może pozwolą jej do siebie dołączyć? To się zdarzało. Może kiedyś to na nią ktoś wyznaczy nagrodę i znów będzie musiał zapolować? Kto wie, kto wie.

Gdy wyszedł już z pokoju i przekradał się ponownie ciemnymi korytarzami, pomyślał, że mógłby ją po prostu zabić i oszczędzić jej cierpień. Jednak prędko pokręcił do siebie głowę, odrzucając tę myśl. Nie był przecież mordercą, a przynajmniej nie takim, a cierpienie? Czy ono kiedyś omijało kogokolwiek?

Bandyci przy ognisku wciąż rozmawiali niczego nie świadomi. Jedynie stos objedzonych kości powiększył się od ostatniego razu, gdy ich widział. Ponownie skoczył w bezpieczną ciemność, przekradł się obok i wkroczył do korytarza wyjściowego. Po chwili był już na zewnątrz i ruszył do przywiązanego w oddali konia, pozostawiając za sobą grotę i swe krwawe dzieło, którego nikt nawet jeszcze nie był świadomy. Wszedł i wyszedł niczym duch, tak jak miał w zwyczaju.

Po latach praktyki uznał, że takie podejście budziło o wiele większy respekt niż krwawa łaźnia. „Śmierć nadchodzi po cichu”, nie raz zostawiał te słowa na ciałach swych ofiar, a niektórzy powiadają, że mógłby zabić nawet ojca rodziny przy obiedzie, a nikt do kolacji by się nawet nie zorientował dlaczego tak nagle zamilkł. Była to oczywiście przesada, ale robiło wrażenie na klientach, którzy płacili grube sztosy złota, za wynajęcie cichej śmierci, która była tak pewna jak ta prawdziwa.

Teraz zaś owa śmierć podążała szybkim krokiem przez przejrzysty, zielony las, który zupełnie nic sobie nie robił z rozlanej chwilę temu krwi. Jego koń stał w tym samym miejscu, w którym go wcześniej zostawił - na niewielkiej polance otoczonej gęstymi drzewami, w pobliżu jednego z okolicznych wzgórz. Na widok Reyna uniósł nieco łeb, ale nie zarżał, wiedział już, że jego pan sobie tego nie życzy. Głośne końskie rżenie w cichym lesie było jednym lepszych sposobów, by ściągnąć mu na kark kłopoty, a tego żaden z nich nie chciał. Kiedyś zdradził w ten sposób jego pozycję, za co dostał od ścigających strzałę w zad, która była przeznaczona dla Reyna, a to bardzo przyspieszyło naukę poprawnego zachowania w terenie.

- No nie patrz już tak – powiedział łowca, widząc niezadowolone spojrzenie swego wierzchowca. – Nie chcę tu być tak samo jak ty, ale to to już koniec. Złapałem skurwiela. Czas wrócić do cywilizacji.

Zwierzę trzepnęło ogonem i położyło uszy w odpowiedzi. Konie kashytów były zaskakująco inteligentne, a ten był naprawdę udanym zakupem, nie licząc tamtego jednego, feralnego incydentu. Gdy wiązał worek z głową Darsena do juków, odwrócił się ostro w stronę, z której przyszedł. Miał wrażenie, że słyszy jakieś zamieszanie, a to oznaczało tylko jedno - musieli się zorientować co się stało.

Reyn wzruszył ramionami i wskoczył na siodło. Mogą go sobie szukać do woli. Nie odkryją nawet śladu krwi zdobyczy, którą ze sobą zabrał. Już dawno zainwestował w nieprzemakalne, esseńskie tkaniny. Szarpnął więc za wodze i ruszył w drogę powrotną.

*

Po kilku dniach spokojnej jazdy dotarł na równinę elizjum okalającą miasto. Według wielu, najpiękniejsze miejsce w krainach. Pola soczyście zielonej trawy, pełne bujnych, rosnących tylko tutaj drzew. Kwiaty o fantazyjnych barwach, krystalicznie czyste, szemrzące strumyki, rzeki i wodospad w pobliżu. Wszystko to pełne życia, motyli, ptaków i innych zwierząt, które hasały tu i ówdzie, szczęśliwie, jakby czujące moc natury bijącą z Avebium. I kwiatowy las

widoczny jak okiem sięgnąć z każdej strony, otaczający to wszystko niczym wieniec. Nie chodziło o rosnące na polach kwiaty, ale o prawdziwy las, las kwiatów o łodygach tak wielkich i grubych jak drzewa, o ogromnych płatkach i dzwonach wielkości domu i o oszałamiającym wręcz zapachu, który potrafił uzdrawiać jeśli wdychało się go wystarczająco długo.

A na środku tego widoku, niczym klejnot stało ono - Avebium, które robiło jeszcze większe wrażenie jeśli poznać je bliżej. Miasto lub organizm, nikt tak naprawdę nie wiedział czym było. Wszyscy jednak nazywali je po prostu miastem, tak było zwyczajnie prościej, ale każdy wiedział, że było czymś więcej. Każdy, kto tak jak Reyn zbliżyłby się wystarczająco blisko, dostrzegłby pierwsze oznaki jego wyjątkowości. Ujrzałby wielkich, trzymetrowych, drzewnych strażników przechadzających się wzdłuż murów i strzegących bram. Przypominali krzepkich ludzi o grubych ramionach i nogach, lecz zamiast ciał, dysponowali grubą korą, z której trudno było odrąbać choćby niewielki kawałek. Ich twarze nosiły ludzkie, choć bardzo toporne rysy, zaś szczyt ich głowy, gdzie wiele ras posiadało włosy, wyglądał jakby ktoś ułamał tam gruby pień, w wyniku czego nieregularne fragmenty kory wystawały do góry w różnych kształtach i długościach. Często pozostawali w całkowitym bezruchu, lecz zawsze byli na posterunku, gotowi do działania gdyby ktokolwiek lub cokolwiek zagroziło miastu lub jego mieszkańcom. Wielu z nich przechadzało się apatycznie po ulicach, patrolując je o każdej porze dnia i nocy. Wtedy wyglądali niezdarnie, niczym lunatycy ledwo przesuujący nogę za nogą, ale w razie zagrożenia potrafili zaskoczyć każdego. Gdyby pan Dietreg Paravel, pracodawca Reyna pozostał w ich polu działania zamiast wyprowadzać się w pobliże morskich klifów, jego rodzina wciąż by żyła.

Lecz nie oni byli największym dziwem Avebium.

Gdy Reyn zbliżył się do bramy, dostrzegł samotnego podróżnika patrzącego z zachwytem na wszystko wokół, a miał ku temu powody. Tak jak ów ayanin, tak i każdy inny podróży szybko przekonywał się, że nigdy nie widział kamienia, z którego zbudowano mur i budynki miasta, a później ku wielkiemu zdziwieniu przekonywał się, że to wcale nie był kamień.

Materiał wyglądał niczym dziwna, szara masa przypominająca skórę jakiegoś zwierzęcia. Była gładka, bez żadnych nierówności ani śladu cegły, lecz prawdziwy szok następował wtedy, gdy dotknęło się go dłonią i przekonywało się, że był nieznacznie miękki i ciepły, jak prawdziwe ciało. To odkrycie wprowadzało wszystkich w bezbrzeżne zdumienie, a im dalej zagłębiali się w miasto, tym dziwów było jeszcze więcej.

Nikt nie budował tu cegła po cegle. Nie było tu wielkich architektów ani budowniczych jak w innych miastach i nie stosowano wysokich rusztowań. Wystarczyła niewielka, prosta konstrukcja, ledwie ułamek tego co trzeba, by normalnie zbudować dany budynek, a wtedy jeden z Wzywających wzywał świadomość miasta, które wykorzystywało tę konstrukcję jako budulec, wchłaniało ją i przekształcało w materię miasta, z której wszystko tu zbudowano i formowało cały dom, który rósł niczym żywa istota, tylko w przyspieszonym tempie. Okna, drzwi, dach, podłogi, ściany, a nawet zdobienia, wszystko co tylko przyszło na myśl Wzywającemu. Tak jak ciało dziecka wykorzystuje pożywienie, by uformować rozrastające się kości i mięśnie, tak i podstawowe materiały były pożywieniem dla miasta, z którego wyrastało ciało, będące wszystkim w okolicy. I tak jak każde ciało, zranione krwawiło, choć nie było łatwo to zrobić i biada temu kto by spróbował.

Jak zawsze tuż za każdą bramą, znajdowała się gigantyczna tablica, na której zapisano najważniejsze informacje dla przyjezdnych. Nie dało się wejść do środka nie mijając jej, a dla własnego dobra, każdy powinien ją przeczytać, tak jak czyniło to właśnie trzech przyjezdnych, których dostrzegł Reyn.

„Zasady bezpiecznego pobytu w Avebium” - widniało na samej górze tablicy.

Miasto nie toleruje wandalów i szkodników. Zranienie budynku lub mieszkańców jest surowo zabronione!

Uwaga na ostre narzędzia i broń, wymachujesz nimi na własną odpowiedzialność!

Jeśli padniesz ofiarą lub zauważysz, że któryś z mieszkańców wykorzystuje opiekę miasta dla własnych celów, natychmiast zgłoś to do Biura Ochrony Handlu i Przyjezdnych. NIE walcz, uciekaj lub poproś innego mieszkańca o pomoc.

By zapewnić sobie maksimum bezpieczeństwa, wynajmij certyfikowanego strażnika z Biura Ochrony Handlu i Przyjezdnych. Będzie za ciebie walczył do ostatniej kropli krwi, niczym rodzony brat. Zapewniamy gwarancję usług, ubezpieczenie zdrowotne, oraz poświadczenie o nieszkodliwości w przypadku zajścia niefortunnego zdarzenia!”

Reyn widział kiedyś pewnego osobnika, który w przyпіływie gniewu zapomniał gdzie jest i ciął mieczem ścianę. Chwilę później, wyszedł z niej jeden z drzewnych strażników i zgniótł go na papkę. Pechowiec ten musiał dysponować własnym trunkiem, gdyż alkoholu od dawna już nie sprzedawano przyjezdnym właśnie z powodu takich sytuacji, lecz to nie były jedyne przypadki, gdy dochodziło do tragedii. To między innymi z ich powodu Avebium, mimo swoich

wspaniałości, było najrzadziej odwiedzanym miastem w krainach. Wielu mniej wrażliwych moralnie mieszkańców doskonale zdawało sobie sprawę ze swej nietykalności, co dawało szerokie pole do popisu wszelkiej maści wymuszeniom, haraczom i groźbom. Nawet najbardziej krzepki tagrański wojownik wiedział, że nie może zranić elity w jego własnym mieście, bo jego siła będzie niczym, gdy spadną mu na kark strażnicy. Wielu to wykorzystywało i właśnie dlatego strażnicy i ochroniarze z tej samej rasy byli tu tak bardzo potrzebni - miasto nic sobie z tego nie robiło, gdy jeden elyta zabił drugiego. Równe zasady panowały tu tylko między nimi, a pozostali musieli być ostrożni.

Jednakże, pieniądze od zarania dziejów potrafiły skłonić do ryzyka przedstawiciela każdej rasy, dlatego mimo obaw rady rządzącej, kupcy wciąż napływali i robiono wszystko co można, by ich nie stracić. Zwłaszcza, że było to jedyne zewnętrzne źródło dochodu miasta, które nie mogło przecież przydzielić licznej ochrony każdemu pojedynczemu przyjezdnemu. Dlatego też mimo piękna i potencjału Avebium, praktycznie nikt go nie oglądał poza kupcami, a turystyka praktycznie nie istniała. Większość poszukujących wrażeń lub wypoczynku wolała udać się gdzieś indziej, niż ryzykować, że trafią tu na jedną z wielu band przestępczych lub, że przez przypadek im widelec spadnie, a potem ktoś ich rozgniecie, bo któryś z mieszkańców nie zdążył powstrzymać strażnika. Wyjątkami byli tu tylko ci, którzy dzięki swym umiejętnościom potrafili stawić temu wszystkiemu czoła, tak jak Reyn, który skacząc przez dym, umknąłby przed każdym.

Spokojny o siebie minął więc tablicę informacyjną i ruszył w głąb miasta. Gdy tylko wyszedł na pierwszy plac za bramą, od razu w oczy uderzyła go wszędobylska zieleń. Według wielu, Avebium bardziej przypominało gigantyczny park z zabudowaniami niż faktyczne miasto. Każdy żywy budynek był otoczony zielenią, jakby idealnie wkomponowany w krajobraz lasu pełnego drzew, dziwnych roślin i kolorowych kwiatów. Wiele roślin nawet bezpośrednio z nich wyrastało lub łączyło się z nimi jak drzewo złączone z boczną ścianą sklepu, który właśnie mijał.

Gdy był tu po raz pierwszy, zrobiło to na nim nie lada wrażenie, ale i teraz potrafiło zaskoczyć. Budynki bywały uformowane w dziwaczne kształty, w zależności od wyobraźni budowniczego. Były tu więc klasyczne prostokątne budowle, jedno lub kilku piętrowe, ale i koliste, unoszące się co raz bardziej w górę, jakby ktoś ułożył jedno koło na drugim i kolejne co raz mniejsze, aż to najwyższe, swym rozmiarem przypominało jedynie niewielki pokoik. Praktycznie każde z zabudowań posiadało szeroko rozbudowane balkony, pozwalające cieszyć się widokami niżej, które dodatkowo łączyły się ze sobą tradycyjnymi mostami linowymi. Z tego względu można

było powiedzieć, że życie toczyło się tutaj nie tylko na „parterze”, czyli na ziemi, ale także na każdym z trzech funkcjonujących pięter, a raczej poziomów miasta. Patrząc w górę, można było dostrzec istną płataninę platform, balkonów i łączących je mostów, a wszędzie tam przechadzały się tłumy elytów.

Sami mieszkańcy także potrafili wprawić w zadziwienie swoją różnorodnością. Co prawda, nie istniała rasa, której członkowie byliby identyczni, każdy był inny w mniejszym lub większym stopniu, ale tutaj można było się zastanowić, czy elyci to naprawdę jedyna rasa zamieszkująca Avebium. Ci najmniej przypominający rośliny mieli skórę o barwie delikatnej zieleni, lecz u innych była to soczysta zieleń zdrowej łądygi, często z chropowatą strukturą lub nawet z kolcami. Jeszcze inni, wahali się od jasnego brązu do ciemnego, co odpowiadało barwie drewna, a włosy wielu z nich były tak różnorodne, jak różnobarwne mogą być płatki kwiatów. Nawet ich palce potrafiły się znacząco od siebie różnić. Jedne „normalne”, zaś inne szponowate i dłuższe, niczym ostre korzenie.

Im dłużej spacerowało się ulicami, tym więcej takich różnic się zauważało, lecz wszystkich łączyły dwie wspólne cechy - umiejętność porozumiewania się z roślinami, oraz szybka regeneracja nawet z najbardziej krytycznych ran jeśli przetrwało ich nasienie życia, z którego powstawała reszta ich ciała. To sprawiało, że w walce byli trudni do pokonania, lecz rzadko kiedy sięgali po broń, a ich miasto od długich wieków nie zaznało oblężenia.

Lecz gdyby tak się stało, byliby gotowi i to nie tylko dzięki swym rasowym zdolnościom i drzewnym strażnikom, ale i pancerzom, które także tworzyło dla nich miasto. Nie dla każdego, gdyż na ten dar trzeba było zapracować, ale gdy tak się stało, każdy wybraniec otrzymywał pancerz tak idealnie dopasowany, jakby na nim stworzony, potrafiący wytrzymać znacznie więcej od stali, będąc jednocześnie lżejszym i potrafiącym się samoczynnie naprawiać, regenerować tak jak jego właściciel.

Jednakże, przechadzając się tymi dziwnymi uliczkami, Reyn wiedział, że ci wszyscy mijający go elyci, nie różnią się tak bardzo od innych ras, jakby się to mogło początkowo wydawać. Mieli swoje wady i zalety i tak jak wszyscy inni mieszkańcy krain, każdy z nich musiał pracować, by przetrwać. Nie byli żadną mistyczną rasą żywiącą się słońcem i ziemią, bo gdyby byli, nie byłoby tu tylu gangów i złodziei, jak ci którzy właśnie zastawili mu drogę. Było ich trzech, ubranych w proste koszule i spodnie, z mieczami w rękach i krzywym grymasem na twarzy. Jeden kolczasty, niczym róza, pozostali dziwnie blado zieloni, jakby chorzy.

- Ej, ty - zaczął kolczasty grubym głosem - wyskakuj z kasy al...

Reyn skoczył w cień na dach po swojej prawej stronie i zniknął z ich pola widzenia. Zrobił to tak naturalnie, że gdy będąc na ziemi unosił stopę do kolejnego kroku, postawił ją dopiero na dachu i szedł dalej, jak gdyby ich nawet nie zauważył.

- Co?! - Krzyknął ten sam na dole. - Gdzie go wywiało? Cholerny zirin!

Ostatnim razem dwa razy omijał podobne grupy, więc zdążył się już nauczyć ich ignorować. Dwie ulice dalej przeniósł się na ziemię w pobliżu straganów, przyciągając do siebie wiele ciekawskich spojrzeń.

- Mamo, co to za pan? ! - Młody, może kilkuletni chłopiec o włosach przypominających dojrzałe liście, zapał z ekscytacją i pociągnął mamę za sukienkę, wskazując na Reyna. - Pojawił się znikąd, jak prawdziwy mag!

- To nie mag synku, to zirin - odpowiedziała, a gdy spojrzała na niego, dostrzegła na jego płaszczu symbol, który wcześniej już widziała - to dobry pan, chroni innych przed złymi avarami.

Reyn uśmiechnął się pod nosem, mijając wpatrzony w niego tłum. Był tu wyjątkowy nie tylko z powodu swego pochodzenia, ale i reputacji. Zirini mieli absolutny zakaz używania swych mocy na terenie miast. Zbyt wiele razy wchodzili do sklepów, brali coś do ręki, a potem znikali jak sen jaki złoty, lądując za oknem i weź go teraz szukaj. Nie wspominając już, że „zawód” złodzieja, czy zabójcy, nie cieszył się popularnością wśród władz, a jak do tej pory były to jedyne drogi, które zirini uznawali za słuszne. Dopiero Reyn to zmienił stając się tępicielem swoich ziomków. Wielokrotnie pomógł już władzom, dorabiając się jedyne w krainach, oficjalnego pozwolenia na używanie swych mocy, a władze miały za zadanie udostępnić mieszkańcom tę wiedzę, oraz pokazać symbol, który miał im powiedzieć, że w jego przypadku nie muszą wzywać straży. Mimo to i tak wezwania były, bo nie każdy akurat zdążył zauważyć kim jest. Było to irytujące, ale to tak jak z paprochem który wpadnie czasem do oka, da się przeżyć.

Nie dało się za to przeżyć niektórych cen, które zauważył na targu. Kupcy i ich towary nie interesowały go za grosz, ale nie dało się przegapić tego wielkiego transparentu informującego o towarach sprowadzonych prosto z Gond i o tym jaka to wielka i jedyna swego rodzaju okazja. Gond specjalizowało się w górnictwie i rękodziele, więc nie dziwne, że produkowali cieszące oko drobiazgi każdego typu, ale ceny i tak były powalające. Jednakże mimo tego, żądni nowości elyci ustawiali się długimi kolejkami, by kupić choć jeden przedmiot z zewnętrznego

świata, a do wyboru mieli praktyczne wszystko. Pudełka z grami planszowymi, figurki, pozytywki, pięknie zdobione talerze, sztucce, kubki i wiele innych drobnych przedmiotów, a nawet kilka sztuk broni, zapewne bardziej nadających się do powieszenia na ścianę niż do walki. Tym wszystkim jednak nie zarządzał jeden z madrańców, a hałaśliwy elyta, który musiał dogadać się ze swym madrańskim dostawcą i sprzedawał jego towary za prowizję. To była wcale nie rzadka praktyka, gdyż mimo pracy biura ochrony handlu i przyjezdnych, niektórzy woleli nie zbliżać się do miasta i załatwiali to w taki właśnie sposób.

Gdy Reyn opuścił już plac targowy, skręcił w prawo, mijając kolejne cudaczne budynki. Maksymalnie wyęczał pamięć, a choć był tu już wcześniej, by podpisać kontrakt, to przez chwilę stracił orientację w terenie. Właśnie dotarł na skrzyżowanie pełne elytów, z którego widział cztery możliwe drogi, jeśli nie liczyć mostów linowych nad nim, które prowadziły w jeszcze inne strony. Rozejrzał się to w jedną, to w drugą stronę, ale żadna nie mówiła mu więcej niż inna. Zdecydował się jednak pójść prosto i jak się okazało, był to dobry wybór, gdyż wkrótce dostrzegł punkt orientacyjny, którego szukał - podstawę kopuły miasta.

Avebium tak jak i każde inne miasto musiało zapewnić swoim mieszkańcom ochronę przed światłem księżyca, lecz gdy wiele z nich budowało nad sobą dach pokrywający całe miasto, oraz czasami tworzyło swą „nocną wersję” pod ziemią, tak Avebium za dnia pozwalało każdemu oddychać i prażyć się w świetle słońca, gdyż każdy elyta, tak jak i roślina, potrzebował go wiele. Z kolei gdy nadchodził wieczór, Wzywający gromadzili się wokół podstawy i komunikowali z miastem, które to korzystając z zapasów zgromadzonych pod kopułą, rozrastało ją na boki i do góry na całe kilometry, tak że pokrywała swym obszarem całe miasto, tworząc zawijającą się do dołu kopułę. Niektórzy twierdzili, że jasne pyłki opadające z niej każdej nocy niczym złoty deszcz, zapewniały mieszkańcom długowieczność, a choć pozostawało to oficjalnie niepotwierdzone, to jednak każdy elyta, który opuścił swoje miasto żył znacznie krócej.

Reyn dobrze pamiętał tę budowlę, która teraz przypominała ułamaną, brązową wieżę, otoczoną polami drzew i kwiatów, strzeżoną przez grupę drzewnych strażników, z którymi nikt o zdrowych zmysłach nie chciał zadzierać. Wokół wieży gromadziły się teraz grupki wiernych, którzy na kolanach wznosili zaśpiewy i modły do swoich bogów i miasta, dziękując za opiekę. Wśród elytów znajdowało się wielu fanatyków, ale trudno było im się dziwić, gdy codziennie doświadczali przejawu takiej potęgi natury. Wielu niewierzących, którzy zdecydowali się na podróż w to miejsce, widząc to przedstawienie zmieniało swoje poglądy. Reyn szybkim

krokiem minął ich wszystkich i wkrótce zagłębił się w aleję, gdzie po kilku minutach marszu, dotarł wreszcie do celu.

Posiadłość lorda Galbarana otoczona była srebrzystym, wysokim ogrodzeniem pilnowanym przez elyckich strażników. Tuż za nimi rozciągał się przepastny ogród pełen strategicznie usytuowanych kęp i rzędów kwiatów, tworzących skomplikowane wzory. Artysta, który niewątpliwie został zatrudniony do urządzenia tego wszystkiego, przygotował sieć marmurowych chodników przecinającą ogród, tak by każdy mógł cieszyć się jego pracą z bliska i mógł poczuć cudowny zapach roślin. W pobliżu zbudowano również niewielkie placówki z ławkami, białymi pomnikami i fontannami, które nawet teraz wyrzucały w górę krople krystalicznie czystej wody. Widok był isticie bajkowy, zwłaszcza gdy dodało się do tego posiadłość wyglądającą niczym dom z piernika. Kształtem przypominała normalne posiadłości, ale cała została zbudowana w kolorze brązu przechodzącego od bardzo jasnych ścian, do dachu tak ciemnego, że bardziej kakaowego niż wciąż brązowego. Kolor zmieniał się wraz z wysokością w przyjemny dla oka sposób, tak że przywodził Reynowi na myśl wielkie, słodkie ciasto, które chętnie by zjadł. Rzecz normalnie nie osiągalna zwykłymi technikami obróbki drewna, gdzie byłoby widać, gdzie kończy się jeden gatunek drzewa, a zaczyna drugi. Tutaj zaś, za pomocą miasta powstało to jako jeden element i dzięki temu było możliwe. To właśnie właściciel tego wszystkiego pokrył koszty sowitego honorarium Reyna. Pan Paravel miał szczęście, że znał kogoś takiego, bo gdyby nie to, Darsen wciąż pozostawałby na wolności.

Gdy tylko Reyn zbliżył się do głównej bramy, dostrzegli go strażnicy. Większość z nich nosiła pancerze łuskowe, przypominające kształtem płytek nachodzące na siebie liście, lecz jeden z nich odziany był w sławny pancerz Avebium, o którym Reyn tyle słyszał. Wiele by dał za to cacko. Szkoda, że nie dało się go od tak po prostu „pożyczyć”.

Właśnie ten wojownik dostrzegł go jako pierwszy i skierował na niego swe uważne spojrzenie.

- W czym mogę pomóc? - zapytał spod hełmu.

- Jestem, „cicha śmierć”, Reyn - odparł - pan Galbaran wynajął mnie, bym wykonał dla niego zlecenie - potrząsnął workiem. – Wykonałem je i przybyłem po nagrodę.

Strażnik kiwnął głową twierdząco.

- Lord uprzedził, że pan przybędzie. Proszę wejść

Z tymi słowy, otworzył srebrzystą bramę i gestem zaprosił go do środka. Reyn ruszył przed siebie żwawym krokiem, mijając strażę i skierował się prosto do posiadłości. Po drodze nie

mógł nie zauważyć tych wszystkich dziwnych, wysokich roślin, o długich, grubych łodygach i wieńczącym je niemal półtorametrowym zamkniętym pąku. Nie czuł się przy nich komfortowo, bo choć przypominały okazałe zamknięte kwiaty, to wiedział czym były i nie za bardzo wierzył w ich posłuszeństwo. Dobrze pamiętał co się wydarzyło za pierwszym razem, gdy przybył do miasta. Chciał zrobić odpowiednie wrażenie na kliencie, więc zdecydował, że zdoła podbić cenę, gdy ominie strażników i niepostrzeżenie wkradnie się do posiadłości. Już nie raz robił ten numer i zawsze działało.

Swobodnie przeskoczył więc przez ogrodzenie i zamierzał przekraść się przez ogród wskazując od razu do mieszkania swego klienta, lecz gdy przechodził obok jednego z tych czerwonych zabójców, kwiat otworzył swą mięsożerną paszczę i niemal go zeżarł. Przeżył tylko dzięki swemu refleksowi, ale od tamtej pory mimo zapewnień pana tej ziemi, unikał ich jak tylko mógł, co było trudne, bo rosły praktycznie przy każdym oknie i drzwiach, oraz w kilku innych miejscach w ogrodzie. Nawet teraz, gdy zapukał do drzwi, jeden z pobliskich pąków drgnął nieznacznie, na co Reyn od razu zareagował czujnym spojrzeniem i gotowością do skoku, ale roślina znieruchomiała, widocznie uznając, że tym razem nie przybył tu na rozbój. Chwilę później otworzył mu pan domu - wysoki mężczyzna o brązowych jak kora włosach i gładkiej, zielonej twarzy, odziany w schludne szaty.

- O, witam panie Reyn. Czyżby łowy się udały?

Cicha śmierć uśmiechnął się lekko.

- Jak widać - potrząsnął przerzuconym przez plecy workiem.

Galbaran przesunął wzrokiem po materiale ściskanym w jego dłoni, a na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Całe szczęście, Dietreg już prawie odszedł od zmysłów. Mam nadzieję, że to... - przez chwilę zastanawiał się jakiego słowa użyć, ale w końcu machnął tylko na worek - pomoże mu dojść do siebie. Proszę wejść.

Elyta odsunął się z przejścia, odsłaniając za sobą okazały rozmiarów hol. Pomieszczenie zostało wyłożone brązową podłogą, prowadzącą prosto do eleganckiego salonu, ku schodom na piętro, oraz do innych pomieszczeń po bokach.

Gdy elyta zamknął za nim drzwi, spojrzął powoli ku schodom.

- Dietreg jest u siebie, zaprowadzę pana. Ja też chcę zobaczyć tego, który zrobił to mojemu przyjacielowi.

- Ostrzegam, że widok może być nieprzyjemny.

- To nieważne – elyta pokręcił głową. - Mam nadzieję, że obyło się bez problemów?

Na te słowa, Reyn mimowolnie przypomniał sobie schwytaną kobietę.

- Nie większych niż zwykle.

- To dobrze - w głosie Galbarana pojawiła się gniewna nuta. - Oby ci wszyscy bandyci szczęśli, ale obawiam się, że nawet mnie nie starczyłoby pieniędzy, by panu za nich wszystkich zapłacić.

Reyn uśmiechnął się lekko.

- Jak na tak duże zamówienie mógłbym przyznać rabat.

Galbaran uśmiechnął się lekko, ale na jego twarz niemal od razu powrócił smutek i pokręcił głową.

- Niestety, wątpię by i wtedy wystarczyło, nawet gdybym sprzedał tę posiadłość i zamieszkał na wysokich piętrach. Taki jest ten świat, nie wyplenisz robactwa, choćbyś nie wiem jak próbował.

Reyn milczał, nie wiedząc co na to powiedzieć, ale nim na dłużej zapanowała niezręczna cisza, Galbaran ruszył schodami na górę zaś Reyn podążył za nim. Ledwie chwilę później wkroczyli do bogato zdobionego korytarza i zatrzymali się przed jasnobrązowymi drzwiami, do których pan domu od razu zapukał.

- Dietreg? Pan Reyn wrócił i ma to po co go posłaliśmy.

Gdy odpowiedź nie nadeszła, Galbaran spojrzał na Reyna.

- Ostatnio mało co do niego dociera. Wejdźmy i niech mu pan pokaże głowę tego sukinsyna.

Reyn kiwnął głową, po czym wszedł za nim do środka. Dietreg siedział na krześle przy oknie, wpatrzony w horyzont. Obrócił głowę w ich stronę dopiero na dźwięk zamykanych drzwi, a na jego obliczu widniała apatia. Najwyraźniej bogactwo i spokój jego dotychczasowego lokum nie były w stanie mu pomóc.

Jego szaty prezentowały się schludnie, lecz skromniej od pana domu. Różne odcienie zieleni przenikały przez siebie od najciemniejszego przy prawym ramieniu, do najjaśniejszego przy

lewym. W jakiś sposób, patrzenie na te wciąż rozjaśniające się z każdym centymetrem barwy, sprawiało, że wzrok zdawał się odpoczywać, lecz twarz Dietrega zdradzała, że on sam dawno tego nie zaznał. Jego oczy były podkrążone, a policzki zapadnięte, co świadczyło o znacznej utracie wagi. Zapewne odmawiał jedzenia i tylko niewiele udawało się weń wmusić, lecz najwięcej mówił jego pusty wzrok. Być może jego połamane palce i poranione ciało zregenerowało się po okrucieństwie Darsena, ale jego dusza wciąż odmawiała uleczenia i nie mogła zaznać spokoju, gdy wciąż prześladowały ją bolesne wspomnienia.

- Dietregu - zaczął pan domu, widząc brak reakcji przyjaciela - pan Reyn wymierzył sprawiedliwość temu, kto cię skrzywdził. W końcu dusze Astalli, Riny i Perta będą mogły zaznać spokoju, tak jak ty.

Reyn stał jedynie w miejscu nic nie mówiąc. Być może i jego rasa nie służyła z empatii, ale jego wspólnik nauczył go tego i owego o kontaktach z innymi. Wiedział więc, że nie powinien przeszkadzać. Chyba.

- Dietregu? Słyszałeś co powiedziałem? - ponownie zapytał Galbaran.

Elyta kiwnął w odpowiedzi głową, ale to wszystko co z siebie dał. Jego przyjaciel skrzywił się boleśnie.

- Proszę pokazać co pan przywiózł - zwrócił się do Reyna - na tamtym stole.

Łowca kiwnął głową i podszedł do wskazanego stołu. Ściągnął z pleców worek i tuż przed jego otwarciem odwrócił się do Galbarana.

- Ostrzegam, że będzie śmierdziało.

Pan domu pokręcił głową.

- Nieważne.

Wtedy Reyn otworzył worek, a w nozdrza od razu buchnął mu smród rozkładu. W końcu wiozł go tu kilka dni, a ostatnimi czasy solidnie przygrzewało. Może i materiał worka powstrzymywał wyciekanie krwi i w pewnym stopniu zapach, to jednak nie mógł powstrzymać samej natury. Mimo to, Reyn był profesjonalistą i nie jedną głowę już widział, wioząc ją zarówno dalej jak i dłużej. Włożył więc pewnie rękę do środka, chwycił za rude włosy i wyciągnął ją kładąc na stole. Galbaran zachłysnął się momentalnie odwracając wzrok i zakrywając usta.

Skóra Darsena stała się trupio sina i zaczęła gnić. W kilku miejscach jej płyty już odpadały od ciała, włosy lepiły się do wilgotnego czoła, a martwe oczy patrzyły przed siebie. Jego usta układały się w dziwnym grymasie, jakby wciąż złośliwie się uśmiechał mimo tego co go spotkało.

Na ten widok Dietreg wybałuszył oczy i w końcu powoli wstał. Ruszył chwiejnie w kierunku stołu jakby całe lata był sparaliżowany i właśnie odzyskał władzę w nogach. Reyn zapobiegawczo odsunął się na bok i z zaciekawieniem obserwował rozwój wydarzeń. Galbaran milczał, odwróciwszy jednak wzrok w kierunku sceny. Na jego oczach Dietreg zatrzymał się przed głową zabójcy jego żony i dzieci, a choć tego nie widział, jego twarz wykrzywiła się w wyrazie wściekłości i szaleństwa. Uniósł w górę pięść i uderzył głowę tak mocno jak mógł, a potem kolejny raz i kolejny. Głowa spadła ze stołu pod ciosami lądując pod regałem, a Dietreg podążył za nią. Padł na kolana i uderzył w nią jeszcze raz, a potem jeszcze i jeszcze, szlochając i krzycząc jednocześnie.

Oczy Reyna otworzyły się nieco szerzej, gdy to obserwował. Wiele miał okazję zobaczyć podczas swojej pracy, ale okładanie głowy trupa widział po raz pierwszy. Galbaran wyglądał na przerażonego, ale nadal nic nie mówił, zapewne mając nadzieję, że cokolwiek jego przyjaciel zrobi, pomoże mu to otrząsnąć się i zamknąć ten rozdział.

- Młot! - Wychrypiał w końcu Dietreg, patrząc na swoje starte dłonie i głowę leżącą na podłodze, z której odpadało co raz więcej kawałków. Jedno oko przywódcy bandy wypadło z oczodołu, kilka zębów spadło już na podłogę, a nos został całkowicie zmasakrowany. Ciosy spadające na przegniłą skórę, sprawiły, że wiele jej fragmentów odpadło już, odsłaniając pod spodem mięśnie, ale elycie było wciąż mało.

- Przynieście mi młot! - Odwrócił się do nich z wyrazem wściekłości na twarzy, a z zakrwawionymi dłońmi, wyglądał jak wypisz wymaluj - szaleniec z zakładu dla obłąkanych.

- Tak... - Galbaran szepnął cicho, słowa z trudem przechodziły mu przez gardło - zaraz przyniosę. Chodźmy panie Reyn.

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, usłyszeli jak Dietreg znów wyżywa się na zwłokach. Pan domu oparł się ciężko o ścianę i odetchnął z trudem.

- Przepraszam, że musiał to pan oglądać. Nie powstrzymałem go, bo... mam nadzieję, że gdy to zrobi, to uda mu się zostawić to za sobą i pójść naprzód...

Reyn pokręcił głową.

- Takie widoki mnie nie ruszają. Przywykłem do widoku trupów, taka praca – wyjaśnił – choć przyznaję, że pierwszy raz widziałem żeby ktoś wyżywał się na uciętej głowie.

- Tak... cóż... - Galbaran ewidentnie nie wiedział co powiedzieć - nie zazdroszczę panu pańskiej pracy - przełknął ślinę i wyprostował się - ale skoro już o niej mowa, to pewnie chciałby pan otrzymać drugą połowę honorarium. Jest przygotowana na dole, chodźmy.

I ruszyli na dół po schodach.

*

Dwie godziny później, Reyn relaksował się w miejskich łaźniach, zmywając z siebie trudy podróży. To była jego stała praktyka po każdym udanym zleceniu. W końcu kiedyś musiał korzystać z zarobionych pieniędzy, prawda? Znów uwolnił świat od jakiegoś mordercy, złodzieja, czy rozbójnika, a oni mieli go za bohatera. Co by powiedzieli gdyby poznali prawdę? Nic go to nie obchodziło.

Bo nigdy jej nie poznają.

Tak więc, zanurzony do połowy piersi siedział zadowolony w rozległej kwadratowej sali pełnej elytów. Wewnętrzne ściany przypominały barwą czerwone cegły, zaś cały kompleks podzielony był na wiele mniejszych kąpielisk, oraz kilka nieco większych. Służka przyniosła mu właśnie kolejną dolewkę nektaru z bukowicy - lokalnego przysmaku, przyjemnie chłodnego w tej parnej temperaturze.

Z wdzięcznością przyjął szklanekę i przesunął wzrokiem po kobiecie wzdychając w duchu. Pociągnął łyk napoju czując w ustach przyjemną, orzeźwiającą słodycz i rozejrzał się po sali. Było w niej pełno elytów i tylko on był tu odmieńcem, ale nikomu to nie przeszkadzało. Byli uprzejmi, czasami zagadywali go, zwłaszcza gdy ktoś go rozpoznał. Nie miał na co narzekać, a przy każdej takiej rozmowie mógł każdego rozmówcę, a raczej rozmówczynię, dokładnie obejrzeć.

Elytki zdecydowanie mogły być odbierane jako atrakcyjne dla nie jednego mężczyzny, no może poza tymi najbardziej „roślinnymi”, ale te bardziej humanoidalne mogły uchodzić za córki lasu, leśne nimfy o zielonkawej skórze, które właśnie kąpały się w jeziorze. A on mógł teraz bez krępacji je obserwować, gdyż nie wstydziły się swego ciała, a każda łaźnia elytów była wspólna dla obu płci. Przed jego oczami prezentowały się więc dziesiątki kształtnych piersi, pośladków, nóg i egzotycznych twarzy i wszystko byłoby pięknie, gdyby pozostawały w bieliźnie, ale nie

pozostawały, a kolejne widoki wywoływały w nim konsternację. Bez krępacji patrzył od czasu do czasu między ich nogi i nie mógł pojąć jak to w ogóle jest możliwe i jak to dziwnie wygląda.

A raczej dziwnie i nienaturalnie jego zdaniem wyglądało to „nic”, które każdy elyta posiadał, czy to mężczyzna, czy kobieta. Po prostu nie rozmnażali się w ten sam sposób co inne rasy i w ogóle nie posiadali pojęcia seksu w swoim słowniku. Słyszał jedynie historie jak to się działo. Podobno mężczyzna i kobieta musieli poświęcić po niewielkiej, kościanej narośli, która wyrastała im na głowie, często pod włosami, a gdy posadziło się je razem w ziemi i oddało pod opiekę wzywających do życia, przekształcały się w nasiono, z którego wyrastał kokon, w którym to powstawało właściwe ciało. Dlatego każdy elyta miał w sobie odpowiednik tego nasiona, którego zniszczenie oznaczało ich śmierć.

Tyle z nich się marnuje, nie zaznając nigdy seksu - myślał, obserwując je – nie wiedzą co tracą.

Im nie było szkoda. W ogóle ich to nie interesowało, choć niektóre pytały go jak działa jego przyrodzenie, ale z czystej ciekawości, bo zwyczajnie się od nich różnił. Musiał przyznać, że korciło go by jednej lub drugiej pokazać, by same się obsłużyły, ale miał przeczucie, że nie zostałyby to dobrze odebrane. Jednakże teraz gdy wciąż na nie patrzył jak polewają się wodą spływającą po piersiach, przysła mu do głowy pewna myśl, której nie mógł się pozbyć z głowy.

A że był zirinem czynu, a nie filozofem, to postanowił działać.

Pociągnął kolejny łyk nektaru i ze szklanką w dłoni ruszył w kierunku trzech najbliższych kobiet, które wcześniej wypytywały go o przyrodzenie. Wszystkie były podobnej, zgrabnej figury, lecz różnił je kolor włosów, oraz rysy twarzy. Jedna najwyższa, odwrócona do niego plecami miała włosy w kolorze morskich fal, opadające niemal do pośladków. Niższa, oparta o krawędź kąpieliska prezentowała znacznie krótszy brąz wymieszany z żółcią, niczym jesienne liście na drzewach, zaś ostatnia była zielonowłosa, o barwie przywodzącej na myśl morskie glony. To porównanie, które wypowiedział w myślach gdy tylko ją zobaczył, było nad wyraz trafne, gdyż nawet kształtem je przypominały, długie, wyraźnie oddzielne wąskie kosmyki opadające jeden przy drugim.

Pierwsza zauważyła go brązowowłosa, która uśmiechnęła się nieznacznie, a jej towarzyszki widząc, że patrzy w inną stronę odwróciły się w jego kierunku. Jego granatowa skóra, jeszcze ciemniejsze, granatowe włosy i żółte oczy wyróżniały się nawet na tle mieszanki cech elytów, a że była to rasa bardzo ciekawska, to były do niego przyjaźnie nastawione, gdyż widziały w

nim kogoś wyjątkowego, a niewielu cudzoziemców miały okazję poznać. Pozdrowiły go skinieniem głowy i uśmiechami, na co odpowiedział podobnie i swobodnie przystanął przy nich.

- Reynie – zagadnęła błękitnowłosa, mrużąc oczy w zastanowieniu, gdy dostrzegła na jego twarzy podejrzany uśmieszek. – Coś ci chodzi po głowie?

W odpowiedzi, Reyn wyszczerzył się, po czym upił ze swej szklanki nieznacznym łykiem.

- Masz bystre oko – przyznał - i tak się składa, że tak. Przez to o czym niedawno rozmawialiśmy i w mojej głowie zrodziły się pytania, na które bardzo chciałbym poznać odpowiedź.

Kobiety uśmiechnęły się życzliwie.

- Pytaj więc – odparła błękitnowłosa – same zamęczałyśmy cię pytaniami, więc będzie nam miło mogąc się zrewanżować.

Reyn uśmiechnął się cwaniacko. No po prostu nie mógł powstrzymać ciekawości. To że nie mogły sypiać z ich mężczyznami, nie oznaczało przecież, że nie było innych opcji. Same pytały go bezpośrednio o jego sprzęt, więc uznał, że i sam może to zrobić.

- No więc, zastanawiałem się jak to jest z wami i z seksem - zaczął swobodnym tonem, jakby rozmawiali o pogodzie - bo mimo, że nie posiadacie narządów płciowych, jak inne rasy, to jesteście wyjątkowo atrakcyjne, a widzę przynajmniej dwa sposoby, w jaki mogłybyście go spróbować. Więc, czy rozważałyście kiedyś jako rasa, seks z inną rasą?

Cisza, która zapadła po tym pytaniu była tak dojmująca, że aż nienaturalna. Zapadła niemal wszędzie, w każdym kąpielisku, a trzy kobiety przed nim niemal zamarły w miejscu, tak że zdawało mu się, że przestały oddychać.

A potem spojrzały na niego gniewnie, urażone do szpiku kości i bez słowa odwróciły się i wyszły z kąpieliska, przechodząc na drugi koniec sali, a przez całą ich drogę jedynym dźwiękiem był plusk ich stóp o mokrą posadzkę. Reyn zamrugnął zdezorientowany i powiódł wzrokiem po otaczających go elytach. Wszyscy patrzyli na niego, a ich twarze mówiły mu mniej więcej to samo: irytacja, złość i uraza, może trochę pogardy. Tyle w nich widział.

Przesadziłem?

Ale nie zamierzał się poddać bez walki. Był przecież tylko ciekawy, a brudnych intencji było w nim tylko trochę.

No, może więcej niż trochę.

Przeniósł spojrzenie na pozostałych elytów będących w jego kąpielisku, którzy również gapili się na niego.

- O co wam wszystkim chodzi? To było zwyczajne pytanie, one wcześniej pytały mnie o fiuta, bo nie wiedziały jak działa, a ja nie wiem jak działacie wy, dlatego zapytałem. Co w tym takiego dziwnego? Myślałem, że są tu dorośli, a nie nadwrażliwe dzieci.

Grupa elytów odwróciła się bez słowa i również wyszła pozostawiając go samego w kąpielisku, jakby cierpiał na jakąś groźną odmianę syfilisu. Jak na początku byli dla niego uprzejmi, tak teraz w najlepszym razie ignorowali go jakby nie istniał.

I weź tu zrozum elytów - pokręcił głową.

- Chłopcze - zawołał do niego stary elyta z sąsiedniego kąpieliska, swym wyglądem przywodzący na myśl wysuszone drzewo - ja już mam swoje lata, więc rozumiem młodych i to, że nie każdy może nas znać, dlatego ci odpowiem.

Reyn spojrzał na niego.

- Dla nas, nasze ciało jest świętością i wykorzystujemy je tylko zgodnie z jego przeznaczeniem, a takie pytanie jak twoje, jak zapewne zauważyłeś, jest dla nas obrazą. Zwłaszcza jeśli kryje sugestię, że ktoś wyraża chęć, by je splamzić. Na przyszłość radzę ci to zapamiętać, bo jesteśmy na tym punkcie wrażliwi. - po tych słowach przeniósł wzrok na pozostałych elytów. - No już, odpuście mu! Jakbyście wy nigdy nie zadali niewłaściwego pytania! - Machnął ręką dając znać, że nie ma się czym przejmować i odwrócił się nie czekając na odpowiedź Reyna.

Pozostali widocznie wzięli sobie jego słowa do serca lub stary elyta musiał być kimś znaczącym, bo przestali się gapić i wrócili do rozmów we własnych kąpieliskach, ale wątpił, by ktoś zawitał jeszcze do jego własnego. No może ktoś nowy, kto go nie słyszał.

- Dzięki - rzucił jeszcze do starego i wrócił na swoje poprzednie miejsce.

Gdy tam dotarł pociągnął kolejny łyk ze szklanki i wzruszył ramionami. Nie żałował. Całe jego życie to ryzyko, a kto nie ryzykuje ten nic nie ma.

Straciwszy zainteresowanie elytami, spędził w łaźni jeszcze chwilę aż dostrzegł za oknem, że mrok spowił już niebo. To był dobry moment, by ruszyć dalej. Chciał jak najszybciej odstawić złoto do kryjówki, w której Johan na pewno już przygotował dla niego kilka kolejnych zleceń

do wyboru, ale co najważniejsze - potrzebował kobiety, a tu z oczywistych powodów nie było żadnego burdelu. Miasto bez domu uciech? Kiedyś powiedziałyby, że to niemożliwe, ale Avebium kryło w sobie wiele dziwów, a to nie było tym największym. Wyszedł więc z kąpieliska i ruszył do przebieralni zostawiając za sobą mokry ślad wody.

Rozdział 2

Gdy niedługo później szedł wciąż pełnymi ulicami, stwierdził, że nie będzie tęsknił za Avebium. Było zbyt dziwne, wolał coś do czego był przyzwyczajony. Wolał miasto, w którym gdy wejdzie do gospody, może zamówić sobie solidną porcję pieczystego, a nie jak tutaj. Gdy poprosił o najlepsze co mają do zaoferowania, oczekując wspaniałej pieczeni, czy czegoś w tym rodzaju, zamiast tego dostał wielką michę zieleniny z sosem. W pierwszej chwili wybałuszył oczy nie dowierzając w to co widzi, ale skoro już zamówił, to stwierdził, że zje i ku swemu zdziwieniu było naprawdę smaczne, ale nadal były to tylko warzywa, zielsko i coś co miało chyba udawać mięso, ale nim nie było. Tak samo jak w kwestii kobiet, które powinny przecież być kobietami, a nie niczym piękne lalki, na które można tylko popatrzeć i nic więcej.

Spojrzał w górę i dostrzegł nad sobą gigantyczną osłonę kopuły miasta. To było dziwne uczucie znajdować się pod czymś tak wielkim, pod rośliną o rozmiarze dziesiątków kilometrów szerokości w każdą stronę. Założyłby się, że wielu czuło się przy niej maluczkimi i nic nie znaczącymi, bo nawet wielki budynek to jedno, ale to przecież była żywa istota. Sam czuł się nieco dziwnie w starciu z tym majestatem. To było coś czego nie mógłby pokonać i wcale się nie dziwił, że nikt nie atakował elytów. Wystarczyłaby jedna myśl, by dwa razy to przemyśleć. „A co jeśli nie wiemy o tym wszystkiego? Co jeśli mogą wykorzystać to do obrony?” Kto wie czy to nie potrafiło się przemienić w wielkiego potwora, który zmiotłby całą armię? Nigdy do czegoś takiego nie doszło, ale to nie znaczyło, że nie mogło się stać.

Gdy tak patrzył, nie mógł nie zauważyć licznych ogni rozświetlających wszystkie piętra i platformy miasta. W nocy, gdy światło księżyca nie dochodziło do ulic, panowały na nich całkowite ciemności, tak więc musiano je dodatkowo rozświetlać, ale w żadnym innym miejscu nie robiło to takiego wrażenia jak tutaj. Sieć jasnych punktów rozstawiono w wielu miejscach i na każdej wysokości, a w ich świetle widział elytów spacerujących po mostach i platformach, goniących za własnymi sprawami. To wszystko przypominało mu jakby znajdował się w wielkim, rozświetlonym gnieździe jakichś owadów. Tylko bzyczenia brakowało. Zamiast niego słyszał skrzypienie dochodzące do jego uszu za każdym razem gdy mijał drzewnych strażników

przechadzających się ulicami zaspanym krokiem, a ich żarzące się jasnym światłem oczy przypominały mu, że Avebium nieustannie go obserwuje. Między innymi dlatego nigdy nie mógłby tu zamieszkać. Jak miałby spać wiedząc, że ściana obok żyje i może na niego patrzy? Czułby się jakby coś go zjadło i kazało w sobie żyć. Pokręcił do siebie głową.

To miejsce przyprawa mnie o dreszcze. Byłe dalej stąd, do chłodnych i na pewno martwych kamieni.

Przyspieszył kroku, by czym prędzej dotrzeć do stajni, w której zostawił konia i opuścić to miejsce. Wkrótce dotarł do najbardziej wyludnionej części Avebium, czyli dzielnicy rzemieślniczej. Elyci nie lubili tego ciągłego dymu i walenia młotami, które jej towarzyszyło. Trudno było się relaksować na platformie wyżej, gdy dym z kuźni przelatował ci koło nosa. Nic więc dziwnego, że jedyne platformy, poza tymi najwyższymi jakie się tu znajdowały, pełniły tylko rolę skrótu między kolejnymi częściami miasta. Powodem tego mogły być też smrody dochodzące z dzielnicy klasy średniej znajdującej się w pobliżu. Elyci mieli fioła na punkcie czystego powietrza.

Jako, że Reyn doskonale zadawał sobie sprawę gdzie się kieruje, to nie dziwił się, że akurat tutaj ktoś chciał go obrabować. Znowu. Które miejsce byłoby lepsze, gdzie potencjalnych świadków byłoby tak niewielu? Wciąż idąc przed siebie odwrócił się, by dostrzec tego, który go śledził. Mężczyzna w ciemnym płaszczu z kapturem szedł między budynkami, a jego twarz skrywał cień. Po jego sylwetce oceniał, że nie był zbyt postawny, ale tutaj nie musiał taki być mając drzewnych strażników na poparcie swych argumentów. W jego krokach odbijała się pewność siebie, którą zapewne z tego właśnie powodu czuł.

Reyn skrzywił się. Czyżby kolejny tępy członek jakiegoś durnego gangu myślał, że go obrobi? Żałował, że nie może mu dosadniej udowodnić jak bardzo się myli. Przypominał mu typowego cwaniaczka, który myśląc, że skoro ma wielkiego brata, to wszystko mu wolno. No, ale tym razem jego brat naprawdę był niebezpieczny, a jego towarzysze zapewne przemykali gdzieś w cieniu. Tacy prawie nigdy nie działali solo i prędzej czy później odetną mu drogę. Rozejrzał się więc bystro to w jedną, to w drugą stronę, obserwując otaczające go budynki i szukając takiego, z którego najłatwiej byłoby mu ich zmylić.

Po chwili znalazł takie miejsce po swojej prawej. Dostrzegł tam podłużne, szerokie budynki, przy których nie widział żadnej platformy umożliwiającej łatwe wzniesienie pościgu, otoczone niższymi zabudowaniami. Z jednego z nich unosił się gęsty dym, zapewne warsztat pośród magazynów, a ciąg budynków prowadził akurat w kierunku bramy, idealnie.

Reyn nawet się nie oglądał, tylko tak jak ostatnim razem, gdy tylko znalazł się w odpowiednim miejscu, płynnie skoczył przez dym i dokończył swój krok na dachu. Zadowolony uśmiechnął się pod nosem, gdy dostrzegł jak kilku elytów na bocznych platformach przygląda mu się z ciekawością, ale wtedy usłyszał coś dziwnego.

Kroki, za nim.

Poczuł ostrzegawczy chłód na plecach i odwrócił się natychmiast, dostrzegając za sobą tego samego „elytę”, który za nim szedł.

Jak...

Ale nim dokończył, dostrzegł coś innego. Jego żółte, jasne oczy, takie same jak jego własne, granatowy odcień skóry na dłoni, gdy sięgał po miecz i wybuch czarnego dymu, gdy zniknął i pojawił się tuż za nim.

Być może zaskoczyłby tak nie jednego.

Ale nie jego.

On był „cichą śmiercią” Reynem. Polował na zirinów i umiał z nimi walczyć, a jego instynkt i refleks odpowiedziały natychmiast. Gdy wrogi zirin skoczył, Reyn przeniósł się od razu przed siebie, tam gdzie wcześniej stał przeciwnik. Rozpłynął się w powietrzu w tej samej chwili, w której tamten zadał cios, który przeszył jedynie dym. Reyn zmarszczył czoło patrząc na zabójcę, w którego ruchach dostrzegł wahanie lub zaskoczenie, a może jedno i drugie.

- Co taki zaskoczony? Pierwszy raz ci się nie udało? – zapytał Reyn na wpół zirytowany, na wpół rozbawiony. - Powinieneś się tego spodziewać skoro chciałeś mnie zabić.

Zabójca milczał, obserwując go uważnie. Reyn dobył swych dwóch mieczy i zbliżył się o kilka kroków. Wtedy wrogi zirin również dobył drugiego noża lecz nie wycofał się mimo początkowego wytrącenia z równowagi.

– Czym sobie zasłużyłem na atak jednego z moich rodaków? – ponownie zapytał Reyn, udając zastanowienie. - A nie, już wiem. W sumie zabiłem już tylu zirinów, że pewnie któryś z nich był twoją matką, ojcem lub bratem. Nieważne, atak na mnie to błąd.

- Za dużo gadasz – syknął jedynie zabójca i postąpił krok do przodu, ale to Reyn przejął inicjatywę. Ruszył na niego biegiem i zaatakował jako pierwszy.

W sumie to cieszył się w duchu z tej okazji. Na nim mógł się wyładować, a zabicie go tylko poprawi mu notowania na rynku. „Cicha śmierć” przeżył próbę zamachu i zabił swego zabójcę? Piękny wpis na jego liście osiągnięć.

Od razu zwarli się w bezlitosnym starciu. Ostrze Reyna już na początku o mało co nie rozplątało gardła napastnikowi, który cudem zdążył się cofnąć i odpowiedzieć szybkim, paskudnym pchnięciem, które łowca jednak sparował i wyprowadził kontratak, który zabójca ledwo zablokował swą klingą. Reyn miał przewagę zasięgu co bezwzględnie wykorzystywał. Przez chwilę badał wrogiego zirina szybkimi wypadami i cięciami z ukosa rozpracowując jego ruchy. Był spokojny i panował nad sytuacją, czego nie można było powiedzieć o jego przeciwniku. Widział, że zabójca się denerwuje i nie czuł się tak pewnie jak on. Na jego twarzy pojawiał się grymas, gdy ledwo nadążał z parowaniem i unikami. Reyn widział to już wcześniej. Tak walczyli zirin, specjalizujący się w atakach z zaskoczenia, tak bardzo polegający na swojej mocy, że zaniebdywali walkę bezpośrednią. Byli niczym jadowite węże, których jedno ukąszenie wystarczy by zabić, więc nie potrzebowali nic więcej, a gdyby się nie udało, zawsze mogli się wycofać i spróbować ponownie.

Ale co gdyby nie mogli?

Reyn zbił kolejny atak przeciwnika, pozwalając by jego własny pęd poniósł go do przodu. Zirin stracił równowagę i nadział się prosto na kolano Reyna, które trafiło go w brzuch odbierając dech. Kolejny cios łokciem w szczękę powalił go na ziemię, lecz gdy chciał go dobić szybkim sztychem w pierś, zirin zniknął w kłębie dymu, pojawił się nieco dalej i szybko wstał na nogi. Reyn skrzywił się. Całkowicie rozpracował już jego schemat obrony, a wrogą zirin wyraźnie słabł pod jego atakami. Lada chwila i tak go wykończy, ale miał ochotę na bardziej widowiskowe zakończenie sprawy.

Utrzymując dystans skupił swe spojrzenie nieco za przeciwnikiem. Zrobił to specjalnie. Wiedział, że to zauważy i wiedział, że wygląda to tak jakby chciał za niego skoczyć, tak jak on to zrobił na początku. To było łatwe do przejrzenia i takie właśnie miało być. Przez ułamek sekundy dostrzegł ruch jego oczu, gdy zabójca spojrział na dach tuż nad Reynem, to tam zamierzał uciec.

I wtedy Reyn skoczył. Rozpłynął się w chmurze czarnego dymu i znalazł tuż za zabójcą, który przeskoczył na dach, dokładnie tam gdzie wcześniej patrzył, ale gdy odwrócił się za siebie i spojrział w dół gdzie zamierzał zobaczyć Reyna, jego już tam nie było.

Był za nim i przebił go na wylot mieczem.

- Pozdrów śmierć, gdy ją spotkasz – szepnął mu do ucha.

Zabójca zachwiał się, a broń wypadła mu z palców i uderzyła z brzdękiem o ziemię w dole. Całą siłą woli obrócił się jeszcze w stronę Reyna, a w jego oczach prócz bólu, grało niedowierzanie. To co zrobił nie powinno być możliwe.

- No i co się gapisz? Spadaj już - zachnął się Reyn, po czym płynnym ruchem wyciągnął z niego miecz i kopniakiem posłał na dół.

Zabójca spadł i z impetem rąbnął o ziemię wzbijając w górę chmurę pyłu. Reyn wychylił się jeszcze z za krawędzi i spojrzał czy na pewno jest martwy. Był. Leżał nieruchomo, bez życia, z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a szeroka czerwona kałuża powiększa się pod jego ciałem. Szybkim ruchem strząsnął krew z ostrza i schował klingi do pochew na plecach.

Wyglądało na to, że jego wyjazd z Avebium nieco się opóźni. Najpierw czekała go wycieczka na posterunek, by zameldować o całej sprawie okolicznym władzom. Inaczej nie przypiszą go jego zasługom. Co za utrapienie.

Twierdził tak jednak głównie z przyzwyczajenia. To była jedna z wielu zalet dobrej reputacji, którą posiadał. Ktoś inny mógłby martwić się pytaniami i podejrzeniami, bo w końcu nie wiadomo kto tu był zabójcą, a kto atakowanym, ale gdy on powie, że został napadnięty i musiał się bronić, to uwierzą mu bez pytania. Był w końcu cichą śmiercią Reynem - wolnym strzelcem, który jednak wielokrotnie pomagał już służbom porządkowym, a wręcz preferował tego typu zlecenia. Był zabójcą w białych rękawiczkach, za co nie dość, że mu dobrze płacili, to jeszcze wychwalali. Żyć nie umierać.

Gdy zadowolony z siebie miał już zeskoczyć na dół, usłyszał za sobą klaskanie. Mocne, powolne klaskanie silnych dłoni.

- Brawo, brawo, doskonała robota. Teraz już wiem dlaczego cię wybrali – powiedział ktoś za jego plecami.

Reyn odwrócił się natychmiast niczym zaskoczone zwierzę i ponownie dobył broni. Na budynku obok stał mężczyzna o posturze nieco bardziej okazałej niż ten, którego przed chwilą zabił. Był ubrany identycznie jak poprzedni, z tą różnicą, że jego twarz zakrywała dziwna, metaliczna maska, uniemożliwiająca identyfikację rasy. Coś było jednak w jego postawie, co

nakazywało Reynowi zachować ostrożność. Jakaś... zbyt pewność siebie i poczucie kontroli nad sytuacją.

- Następny? – zapytał Reyn. – To wyjątkowa głupota atakować mnie pojedynczo skoro było was dwóch. Nie powinienes już spieprzać zanim cię zabiję?

Zabójca uśmiechnął się drapieżnie pod maską.

- Mogę cię zaatakować jak chcę, Reyn. Efekt i tak będzie ten sam, ale najpierw chciałem zobaczyć jak walczysz. A teraz... - przeciągnął zdanie, po czym dobył swych ostrzy, dłuższego i krótszego i pod czujnym spojrzeniem Reyna zeskoczył na dach, na którym stał.

Reyn nie raz widział już pewnych siebie, przechwalających się drani. To było niczym walka psychologiczna, mająca wpłynąć na przeciwnika i osłabić jego wolę. Sam ją praktykował, ale w słowach tego mężczyzny było coś niepokojącego. To było coś więcej niż pewność siebie, bardziej jak... odczytanie nieuchronnego wyroku podpisanego przez świat.

Ale Reyn dał światu w mordę już wiele lat temu i odmówił dostosowywania się do jego wyroków. Dlatego mocniej zacisnął dłonie na rękojeściach swych mieczy, a gdy zabójca na niego ruszył, był gotów.

Mimo tego, łatwość z jaką wygrał poprzednią walkę, teraz zadziałała na jego niekorzyść. Cały czas miał ją pod kontrolą i mylnie sądził, że teraz będzie tak samo. Zabójca jednak szybko wyprowadził go z błędu. Na Reyna spadł istny grad ciosów, jeden po drugim bez ustanku. Zręcznie zbijał je i blokował, ale ledwo zdążył pomyśleć jak szybki jest jego przeciwnik, gdy kolejne cięcie minęło go dosłownie o włos. Gdy to się stało w końcu zrozumiał, że to nie będzie spacer po parku.

Reyn zbił mocne uderzenie na bok i od razu zwinął się w uniku przed kolejnym. Zabójca na moment wytracił impet, a Reyn skrócił dystans i wbił mu łokieć w żebra. Natychmiast poprawił koszącym ciosem, ale miecz przeciwnika stanął mu na drodze, a ich klingi skrzyżowały się. Przez chwilę siłowali się ze sobą, próbując przełamać obronę przeciwnika. Reyn dawał z siebie wszystko. Mówił to grymas wysiłku widoczny na jego obliczu, zaciśnięte zęby i nabrzmiałe żyły na twarzy. Zabójca jednak ani drgnął, a przez metaliczną maskę na jego twarzy, nie dało się dostrzec emocji. Widział jedynie oczy, jasnobrązowe, spokojne i zrozumiał, że w ten sposób nie zyska przewagi. Wyczuł jak opuszczają go siły, a przeciwnik napiera co raz bardziej.

Silny jest, skur...

Musiał coś zrobić. Walczyć na swoich warunkach.

I dlatego zapał się ze wszystkich sił i kopnął przeciwnika w udo, najmocniej jak potrafił, odskoczył i znów zaatakował.

Zabójca jednak jakby ledwo to poczuł. Sparował jego cios z łatwością i natychmiast przystąpił do kontrataku. Zaskoczony Reyn uniósł miecz, a stal zabrzęczała pod ciężkim uderzeniem, a potem pod kolejnym i następnym.

Zmusił go do cofania się. Niepotrzebnie wdał się w ten statyczny test siły przed chwilą. Zmęczone mięśnie paliły go co raz bardziej, a Reyn zrozumiał, że zabójca nie stara się już nawet minąć jego zastaw. Uderzał prosto i mocno, ciosy łatwe do przewidzenia, ale trudne do zablokowania, gdy nie miało się miejsca na unik. Po każdym z nich jego ramiona cierpły co raz bardziej i wkrótce zwyczajnie nie zdąży unieść miecza na czas lub wytrąci mu broń z ręki.

Dobry jest, sukinsyn – musiał to przyznać. Dawno nie walczył z kimś tak dobrym. Doskonale dostrzegł jego słaby punkt i wykorzystywał to do cna. Sam nie zrobiłby tego lepiej.

W innej sytuacji nie byłby to aż tak wielki problem. To nie czysta siła była najważniejsza w walce i nie raz już zwyciężał w pojedynku z silniejszym oponentem, ale tutaj nie miał jak temu zaradzić. Zaciśnął zęby, gdy to do niego dotarło. Na tak wąskim odcinku dachu nie mógł nawet uskoczyć na bok. Pod gradem ciosów nie miał czasu wyprowadzić żadnej kontry, a odskok do tyłu zbliżyłby go tylko do krawędzi dachu. Zrozumiał, że źle dobrał teren walki pod takiego przeciwnika.

Ale wciąż był zirinem i miał wiele innych opcji.

Dlatego dał się zepchnąć do tyłu pośród szczęku stali i w deszczu iskier sypiących się z ostrzy, a gdy znalazł się tuż przed krawędzią nie czekał na kolejny cios. Zamiast tego wybił się do tyłu i spadł w dół, błyskawicznie obrócił głowę i w wybuchu dymu przeniósł się na ziemię, na lepsze pole do walki. Tutaj mógł rozpocząć swój taniec i wykorzystać wrodzoną zwinność. Spodziewał się, że jego przeciwnik zrobi to samo, lecz ku jego zdziwieniu, mężczyzna zeskoczył normalnie, najpierw na niższy budynek, potem na ziemię, przeturlał się po podłożu i wstał, gotów do dalszej walki.

- Nie jesteś zirinem? – rzucił do niego Reyn, uważnie go obserwując i nie potrafiąc ukryć zdziwienia.

- Kto powiedział, że jestem? – Odpowiedział jedynie, po czym znów zaatakował, lecz tym razem Reyn wiedział czego się spodziewać.

Błyskawicznie schował lewy miecz do pochwy i dobył długiego sztyletu z za pasa. Przyjął pozycję żądła z wyciągniętym przed siebie ostrzem i sztyletem u dołu ciała, wzdłuż nogi, gotowym do zabójczego pchnięcia. Gdy zabójca znalazł się odpowiednio blisko i przygotował się do ciosu, Reyn gwałtownie wyrzucił przed siebie sztylet, robiąc przy tym jednoczesny wykrok lewą nogą, dokładając do rzutu siłę całego ciała. Ostrze ze świstem przemknęło przez powietrze, lecz mimo to zabójca spróbował zwinąć się w uniku.

Za wolno.

Sztylet wbił się w jego ciało tuż pod klatką piersiową, a Reyn wykorzystał idealną okazję do bezlitosnego uderzenia, które jednak ten zablokował jakby nic nawet nie poczuł i chlasnął Reyna drugim ostrzem, rozcinając mu ubranie na ramieniu, o mały włos mijając ciało. Zirin opanował zaskoczenie tylko dzięki doświadczeniu, zręcznie sparował kolejny cios, uchylił się przed kolejnym uskakując na lewą stronę przeciwnika i wyprowadził paskudne kopnięcie w bok kolana, po którym zabójca syknął wyraźnie i o mało co nie upadł na ziemię. Reyn znał ból, który właśnie czuł. Sam kiedyś otrzymał taki cios i kulał przez tydzień, a równie dobrze mógłby nigdy nie odzyskać pełnej sprawności i mimo, że jakimś sposobem zabójca błyskawicznie powrócił do postawy bojowej, nie dając dźgnąć się Reynowi w plecy, to ten wiedział, że właśnie zyskał znaczną przewagę. Być może i zamaskowany wojownik posiadał ogromną odporność na ból i tylko nieznacznie utykał, to nie mógł oszukać własnego ciała, a uszkodzone kolano znacznie go spowolniło, co Reyn bezwzględnie wykorzystał.

Nie dał mu odetchnąć, całkowicie odwracając role z walki na dachu, aż w końcu, zabójca nie zdążył uchylić się przed kolejnym ciosem, który rąbnął go w twarz. Jego maska zabrzęczała metalicznie, gdy Reyn odrąbał z niej kawałek przy szczęce. Odpowiedział szerokim cięciem, by go odpędzić, ale zirin ominął jego klingę oszczędnym ruchem i przyłożył mocno w dłoń trzymającą miecz. Rozległo się charakterystyczne chrupnięcie, świadczące o tym, że złamał mu przynajmniej dwa palce. Klinga zabójcy upadła, a Reyn zawirował wokół niego, zmylił sprytną fintą, prowokując zasłonę ostatnim mieczem, a potem pchnął w miejsce między barkiem, a klatką piersiową, czyniąc drugie ramię bezużytecznym.

Zwyciężył, ale nie zamierzał dać mu chwili oddechu. Wyciągnął miecz, tylko po to by pchnąć od razu drugim. Zabójca jakimś cudem zareagował szybko, wykonując poprawną zastawę mimo rany, która powinna go obezwładnić, ale był zbyt wolny.

Reyn doskonale widział jego ruchy, jakby czas dla niego zwolnił. Widział jak jego ręka przygotowuje się do zbiccia jego miecza, ale nim ich klingi się spotkały, ostrze Reyna zniknęło, tak jak on sam.

A potem wbiło się w ciało zabójcy od tyłu, prosto w brzuch, zadając mu jedną z najpaskudniejszych ran jakie można zadać. Zabójca charknął, a Reyn wyciągnął swe ostrze, po drodze rozcinając ranę jeszcze głębiej. To był jeden z jego popisowych ruchów. Podobnie jak czasami kończył krok na dachu, tak teraz skończył pchnięcie po drugiej, w pełni odsłoniętej stronie. Tego nie dało się uniknąć, jeśli nie było się zirinem. Nikt nie miał takiego refleksu.

I mógł to zrobić szybciej, zaraz po tym jak się upewnił, że nie walczy z zirinem, ale rzadko kiedy ktoś potrafił przyprzeć go do muru jak on, a to wnerwiło go nie na żarty. Chciał mu udowodnić, że nie jest aż tak dobry, by go pokonać w „normalnej” walce. Chciał by poczuł jak pewność zwycięstwa opuszcza go z każdą chwilą i zaczyna rozumieć, że zadarł z niewłaściwym przeciwnikiem. Dlatego użył tej techniki dopiero wtedy gdy praktycznie było już po wszystkim.

Reyn cofnął się o kilka kroków i strzepnął krew z ostrza szybkim ruchem, wpatrując się w plecy swego przeciwnika. Zabójca nie upadł, ale i się nie odwrócił. Ból musiał go sparaliżować.

- To była dobra walka – przyznał zirin. – Kto cię wynajął?

Na te słowa, zabójca odwrócił się, a oczy Reyna otworzyły się szerzej w niedowierzaniu. Zobaczył rąbek uśmiechu pod ułamaną maską.

- Nieźle – powiedział zabójca, jakby podekscytowany, macając dłonią przebity brzuch i przyglądając się swej zakrwawionej dłoni. – Naprawdę nieźle.

To się nie miało prawa dziać. Nikt nie powinien się tak zachowywać z takimi ranami. Powinien paść już od sztyletu, który wciąż tkwił mu w piersi, a po tym wszystkim...

- Kim ty kurwa jesteś? - Nie wytrzymał w końcu Reyn. – Czy to nie jest moment, w którym powinieneś już leżeć na ziemi i umierać?

Zabójca roześmiał się tylko.

- Powinienem - przyznał lekko - ale nie widzę takiej potrzeby. Prawda chłopcy?

Chłopcy?

Reyn instynktownie spojrzał na otaczające go dachy i w jednej chwili chłód przeszedł mu po plecach. Dostrzegł czterech zabójców w czerni, ubranych tak samo jak przeciwnik przed nim.

Tak jak on, nosili maski, ale prędko rozpoznał w nich zirinów. Żadna inna rasa nie miała tak charakterystycznych żółtych oczu. Dwóch z nich dzierżyło łuki, trzymając strzałę w drugiej dłoni, ale jeszcze nie nałożyli ich na cięciwy.

Byłem zbyt nieostrożny... - zdążył pomyśleć Reyn, gdy odezwał się jeden z łuczników.

- Wziąłbyś się do roboty, a nie się bawisz. - Zganił mężczyznę z ułamaną maską. - Dlaczego nie dałeś sygnału? Sami musieliśmy tu przyjść. Gdybyś się wywiązał, już mielibyśmy to z głowy.

Zabójca machnął ręką niezrażony.

- Chciałem się zabawić, co mi zrobisz? Sądziłem, że już dawno go załatwię, ale chyba jest dla mnie za dobry.

To wy sobie gadajcie dalej, a ja znikam - pomyślał Reyn, szybko kalkulując swoje szanse. Pięciu na jednego, z czego każdy mógł być równie dobry jak ten przed nim, a w dodatku dwóch łuczników na otwartej przestrzeni. Jakkolwiek to oceniać, miał przesrane.

A nie lubił mieć przesrane.

Więc skoczył przez dym najdalej jak tylko mógł, prosto między drzewa w alejce za nim, a potem od razu drugi raz w ulicę po prawej, poza ich zasięg widzenia i pomknął przed siebie ile sił w nogach. Trzech zirinów od razu ruszyło za nim, ale ten z łukiem pozostał, patrząc na towarzysza w dole, który roześmiał się głośno.

- Pouczacie mnie, a sami mogliście od razu strzelać, to by nie zwał.

Łucznik wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz, że i tak nie może nam uciec.

Wiedział i dlatego chciał ubarwić polowanie. Co to za zabawa schwytać bezbronną zwierzynę?

*

Pięciu współpracujących zirinów? - myślał gorączkowo Reyn, mijając kolejne ulice, drzewa i skacząc między gęste krzaki. - Przecież to niemożliwe, prędzej by się sami pozabijali, co tu jest...

I wtedy zobaczył tego, który go ścigał. Biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy nikogo nie widział. Znajdował się w równoległej alejce do tej którą podążał Reyn, oddzielanej przez budynki i

drzewa, ale widział, że patrzy prosto na niego. Doskonale wiedział gdzie się kierować, ale jakim cudem?

Nieliczni o tej porze elyci schodzili mu z drogi, nie chcąc się mieszać, co było mu na rękę. Skoczył przez dym na dach magazynu po prawej, z zamysłem, by zeskoczyć po drugiej stronie, ale gdy tylko tam się znalazł, strzała świsnęła mu tuż przy ciele, wystrzelona przez łucznika na moście wyżej.

Skurwiel! - warknął tylko w myślach, zeskakując na dół i szukając schronienia między drzewami. Dostrzegł przed sobą gęsty park, który mógł być idealny do zmylenia pościgu. Pobiegł tam ile sił w nogach, a gdy tylko znalazł się wewnątrz, skoczył przez dym na grubą gałąź ukrytą w koronie drzewa, którego nazwy nie znał. Dyszał. Walczył od jakiegoś czasu, dwukrotnie użył podwójnego skoku, a teraz jeszcze przebiegł kawał drogi. Jego serce pompowało krew jak szalone, musiał złapać oddech i zastanowić się co robić.

Lecz jego przemyślenia zostały powstrzymane przez strzałę, która przemknęła obok, między liśćmi.

Co do cholery?! – pomyślał, na co kolejny pocisk, jakby przywołany jego myślami przeleciał przez liście, znacznie bliżej jego ciała niż poprzedni. Nie zwlekając zeskoczył na ziemię i zobaczył ich: dwóch zabójców z czego jeden z łukiem. Doskonale wiedzieli gdzie się znajdował i szli w jego stronę. Na ten widok syknął tylko pod nosem i skoczył w cień w lewo, do wyjścia z parku. Nie miał wiele czasu do namysłu, ale udało mu się wymyślić coś na kształt planu. By go jednak zrealizować musiał się na moment ukryć.

Gdy tylko skoczył, pozostali również zniknęli w obłoku dymu i przenieśli się w jego kierunku. Łucznik, gdy tylko wylądował, natychmiast naciągnął cięciwę, wycelował i posłał pocisk w kierunku uciekającego Reyna, który zostawił mu krwawy ślad na ramieniu. Na ten widok zabójca uśmiechnął się pod nosem, jakby zadowolony, że ranił swoją zwierzynę, ale nie zabił, a polowanie mogło trwać dalej. Chwycił mocno łuk i pobiegł za nim z determinacją wypisaną na twarzy.

Oni... w jakiś sposób wyczuwają gdzie jestem – analizował Reyn. Nigdy wcześniej nie spotkał się z czymś takim i choć tego nie rozumiał, to wiedział, że gdyby tylko próbował uciekać, to prędzej czy później by go zabili.

Ale on był Reynem, a nie zwierzyną łowną. Nie pozwoli się zaszczuć jak pies.

Ramię piekło go nieco, ale nie było to nic co mogłoby go spowolnić. Mknąc niczym strzała wypadł z parku i znalazł się między budynkami. Natychmiast wypatrzył stosowne miejsce i ukrył się za ścianą pobliskiego warsztatu. Odetchnął głęboko, nasłuchując.

Cisza trwała jedynie kilka sekund. Otoczony spokojem nocy bez trudu wychwycił jak biegną. Nawet nie próbowali się kryć. Reyn zacisnął zęby. Mogli sobie być zirinami, ale nie byli tacy jak on. Mogli mieć niezrozumiałe dla niego możliwości, ale on wciąż miał asy w rękawie, których jeszcze nie pokazał. Nikt o nich nie wiedział, bo nikt kto je zobaczył nie przeżył, by o nich opowiedzieć. Zacisnął pięści zdeterminowany, dodając sobie otuchy i skoczył przez dym.

Pojawił się tuż obok, lecz tym razem dym, który powinien się rozwiać, nie rozwiązał się. Reyn wyciągnął w jego kierunku ręce i pociągnął na boki, jakby rozdierał zasłonę, a wtedy dymu napłynęło jeszcze więcej i więcej. W kilka sekund cała aleja po jego stronie wypełniła się gęstym, czarnym dymem, przez który żaden wzrok nie mógł przeniknąć, żaden prócz jego własnego. Kontrolował tę ciemność i trzymał w ryzach wokół siebie nie chcąc, by wypłynęła za daleko i ostrzegła jego wrogów. Bez trudu słyszał ich kroki pobliskie kroki. Był gotów.

Nawet nie zwolnili, a gdy tylko wypadli z zaułka prosto do alejki, w której się ukrywał doskonale wiedząc, że tam jest, fala dymu owiała ich i pochłonęła, całkowicie odbierając wzrok.

Reyn nie dał im choćby sekundy przewagi. Zdezorientowani zatrzymali się, ale zirin już był za nimi i jednym płynnym ruchem ściał głowę łuczника. Drugiemu odciął rękę z mieczem w dłoni, błyskawicznie poderżnął gardło, a gdy padał na kolana i jego pozbawił głowy, tak na wszelki wypadek. Nie mieli żadnych szans. Nie był pewien, czy mogli przeżyć zwyczajne rany jak ich towarzysz, ale był pewien, że po takich już nie wstaną. A on do cholery uczył się na błędach.

Gdy druga głowa potoczyła się po ziemi, dym zaczął się rozwiewać, a Reyn usiadł pod ścianą, chroniony od góry przez szeroki balkon. Łapał powietrza ile się da, starając się uspokoić serce.

Teraz spróbujcie mnie dopaść, skurwysyny.

Mimo ewidentnej ulgi, nie dał się jednak zbyt ponieść euforii tego małego zwycięstwa. Walka się jeszcze nie skończyła i wiedział o tym. Było jeszcze trzech, którzy go ścigali, a on był tak cholernie zmęczony. Jego umiejętności bardzo go wyczerpywały, te które były sprzeczne z naturą zirinów. Te których nie posiadali, a które posiadał on. Te dzięki, którym mógł tak skutecznie polować. Nie mógł tu zostać zbyt długo, choć oddałby całą sakwę złota za kilka minut spokoju. Zapomniał już jak to jest być ściganym i wolałby by tak pozostało.

Podniósł się w końcu i wyrzwał z alei. Nikogo nie zauważył, ruszył więc ostrożnie, pozostając pod osłoną balkonów. Przemieszczał się powoli krok za krokiem wytężając słuch, ale gdy tylko wyszedł na otwarte pole w powietrzu zaśpiewała strzała. Prawy bok zapulsował bólem, gdy pocisk wbił się głęboko. Reyn syknął i instynktownie skoczył przed siebie kryjąc się za kolejnym budynkiem gdzie niemal zderzył się z dwójką spacerujących elytów. Jeden z nich już otworzył usta, by zapytać co się stało, ale gdy dostrzegł krew i wystające drzewce chwycił swą towarzyszkę za ramię i prędko oddalili się, nie chcąc kłopotów.

Czekał na mnie – Rein skrzywił się i zaklął szpetnie – i ustrzelił jak cholerną kaczkę na polowaniu, która ledwo co wyleciała z krzaków.

Wnerwiony nie na żarty chwycił drzewce strzały i złamał je tuż przy ciele. Nie mógłby walczyć z tym głównym sterczącym mu z boku, a choć przez ułamek sekundy korciło go by wyrwać całą, to gdyby walka się przeciągała, upływ krwi mógłby go zabić, a grot na swój sposób tamował krwawienie.

Tylko co teraz?

- Może wyjdiesz z ukrycia żebyśmy mogli walczyć jak mężczyźni, a nie tylko strzelasz jak tchórz, co?! – wykrzyczał desperacko do łucznika.

To na pewno nie zadziała – pomyślał - ale co mi...

I wtedy w kłębie dymu pojawił się zirin. Wciąż trzymał w ręku łuk, patrząc prosto na Reyna. To był ten sam łucznik, który odezwał się poprzednio jako pierwszy. Nim sytuacja rozwiązała się w jakikolwiek sposób, przy jego boku pojawił się kolejny zirin. Łucznik odwrócił na niego wzrok.

- Gdzie pozostali? – zapytał go. - Już dawno powinni tu być.

- Nie mam pojęcia – odparł zirin, dziwnie miękkim głosem z za swojej maski, na co łucznik pokręcił tylko głową.

- Później z nimi pogadam, zajmijmy się teraz naszą ofiarą. – spojrzał na Reyna. – Skoro chcesz wybrać jak umrzeć, to mogę spełnić twe życzenie. I tak już jest po wszystkim, ledwo stoisz na nogach.

- Nikt tu się nikim nie będzie zajmował! – włączył się do rozmowy jakiś nowy głos. - Natychmiast rzućcie broń!

Zdumiony Reyn spojrział za siebie i dostrzegł, że z miejsca, w które przed chwilą uciekła dwójka mieszkańców, szedł teraz ęlycki strażnik. Cały odziany w zbroję łuskową, naramienniki, nagolennice i hełm. Z pasa zwisał mu długi miecz, a pod szyją widniały zapięcia błękitnego płaszcza, wskazujące, że należał do błękitnych płaszczy, zakonu odpornego na działania tej właśnie barwy księżyca. Jego szybki krok wskazywał, że nie zawaha się działać jeśli zajdzie potrzeba.

– Mieszkańcy donieśli mi, że dzieje się tu coś niepokojącego i co my tu mamy? – spojrział na dwóch zabójców przed nim z bronią w ręku, oraz na Reyna trzymającego się belki podporowej. Klinga, którą dzierżył została w większości oczyszczona z posoki, więc strażnik nie zauważył tych kilku kropel, które wciąż na niej zostały. – Czego od niego chcecie? To wy go raniliście?

Reyn nie mógł wprost uwierzyć w to jakie miał szczęście, jednakże zabójcy nie podzielali jego entuzjazmu. Łucznik syknął przez zęby na tę niedogodność, ale łód w jego głosie nie pozostawiał wątpliwości.

- Zajmij go czymś - powiedział do swego kompana - ale nie opuść mu krwi, bo się nam zwali na głowę to całe gówno. Ja zajmę się Reynem.

Strażnik zmrużył oczy.

- Co to ma znaczyć?! – powiedział elyta, sięgając do rękojeści miecza – Każdy kto sprawia kłopoty w Avebium będzie musiał... Zaraz, powiedziałaś Reynem?

- Ogłuchliście?! Odłóżcie broń i odpowiedzcie na moje pytania albo was aresztuję! – warknął strażnik dobywając miecza, ale wtedy coś mu zaświtało. - Zaraz, powiedziałaś, Reynem?

Lecz nie było więcej czasu na rozmowę. Pierwszy zabójca ruszył na elytę z bronią w ręku, zaś łucznik zrezygnował ze spełnienia prośby Reyna i dobył łuku, jednak cicha śmierć nie zamierzał pozwolić mu go użyć. Natychmiast skoczył przez dym i uderzył mieczem prosto w jego broń, czym rozciął cięciwę i zniszczył łuk, a nim łucznik zdążył odpowiedzieć, ponownie zniknął i pojawił się w pobliżu strażnika, który uważnie obserwował całe zajście, dzieląc uwagę między skokami Reyna, a zbliżającego się do niego zabójcę.

- Wiesz, ja bym chętnie odłożył broń, ale oni nie posłuchają - powiedział Reyn do elyty, gdy ten spojrział na niego zdumiony. - Jestem Reyn, „Cicha śmierć” i jeśli mi pomożesz, będę ci dłużny. Te sukinsyny chcą mnie zabić.

- Poważnie?! - Odkrzyknął strażnik, jakby ta wieść wielce go uradowała, czym wywołał u Reyna konsternację. - To znaczy, jasne, pomogę ci. To... w końcu mój obowiązek.

Reyn kiwnął głową, poświęcając jedynie krótkie zmarszczenie brwi w reakcji na jego dziwne słowa. Nie było czasu na pierdoły.

- Uważaj, to zirini – ostrzegł go - i są...

Lecz nim zdążył powiedzieć coś więcej, obaj zabójcy już na nich skoczyli. Elyta został całkowicie zaskoczony, gdy jeden z nich przydzwonił mu rękojeścią miecza w potylicę tak mocno, że aż się zachwiał.

Reyn zareagował lepiej, od razu obrócił się i zablokował cięcie, ale klinga łuczника niemal przebiła się przez jego zastawę, gdy ranny bok zapulsował bólem. Natychmiast odsunął się pracując nogami jak tylko mógł, by zwiększyć dystans, ale łucznik wciąż napierał. Jego ciosy były jeszcze silniejsze niż zabójcy, któremu ułamał maskę, a on był zbyt zmęczony, by spróbować wyminąć jego uderzenia i zaatakować. Wszelkie tego typu próby były teraz zbyt ryzykowne, jedna pomyłka i byłby trupem, a co dopiero gdyby miał walczyć z dwoma przeciwnikami na raz. Dlatego zastosował przed chwilą podwójny skok, bo nie był pewien, czy wytrzymałby obok nich wystarczająco długo, do czasu aż elyta przyszedłby mu na pomoc. Teraz, gdy z wysiłkiem zbijał ciosy łuczника i zwijał się w unikach w pełnej defensywie, dziękował bogom, że docenił swego przeciwnika, ale kątem oka dostrzegł, że nie każdy element jego planu przebiegał równie sprawnie.

Wykorzystując chwilowe zamroczenie elyckiego strażnika, zabójca wykręcił mu rękę i założył dźwignię, ale mimo bólu elycie udało się wyrwać i dobyć miecza. Zirin parsknął pod nosem na widok klingi, wyraźnie go niedoceniając, ale prędko zmienił nastawienie. Spodziewał się prostych ciosów jakimi mógł się posłużyć zwykły gwardzista, ale ten zaskoczył go wprawna serią przed którą ledwo się zasłonił, ale finty już się nie spodziewał. Zmylony płynnym ruchem niemal dał sobie wybić miecz z ręki, ale gdy całkowicie odsłonięty miał już zostać cięty w szyję, elyta nagle się zawahał. Ledwie na sekundę, ale to wystarczyło. Cios nie doszedł celu, gdy zabójca odpowiedział własnym ostrzem, wolną ręką chwycił go za ramię i rozbroił, a gdy zaskoczony elyta próbował się wycofać, został podcięty, przewrócony na ziemię i przygnieciony kolanem, które zirin wbił mu w krzyż.

- Co to było?! – parsknął zabójca – Zawahałeś się? Nie chciałeś mnie zabić? Śmiechu warte, ale dzięki.

W odpowiedzi, elyta szarpnął się gniewnie, ale zirin wiedział co robił. Napierając na jego środek ciężkości praktycznie uniemożliwił mu jakikolwiek ruch, a wykręcając rękę odebrał mu resztki możliwości.

- Złaż ze mnie! Natychmiast!

- Leż grzecznie roślinko, to nie stracisz listków – syknął groźnie w odpowiedzi. – Patrz przed siebie, patrz jak sława umiera na twoich oczach. Tutaj legenda cichej śmierci się skończy, a ty będziesz mógł o tym opowiedzieć.

Nie mogąc zrobić nic więcej, spojrzął. Widział jak ranny Reyn ledwo unika ciosów przeciwnika i próbuje je zbić, ale ewidentnie z każdym ruchem był co raz słabszy. Dopiero teraz dostrzegł krew na jego klindze, choć tych dwóch tutaj było nietkniętych, co oznaczało, że musiał już z kimś walczyć i wygrać, a nie wiadomo ilu ich naprawdę było i ilu już pokonał. I ta rana na boku, z której coś wystawało, wyglądało jak... ułamana strzała, uświadomił sobie, gdy dostrzegł leżący na ziemi łuk.

Krwawe rozdarcie na jego boku było niewielkie, jakby od noża albo... strzały, co sobie właśnie uświadomił, gdy spojrzął na leżący na ziemi, połamany łuk.

Dranie. Kupą go napadli i z daleka ranili, a szczytą się jakby w uczciwej walce zwyciężyli... - elyta zacisnął zęby w gniewie. Tyle czasu czekał, tyle czasu sam walczył, a gdy w końcu go spotkał... miałby patrzeć jak umiera w nierównej walce, śmiercią niegodną sławy, którą był?

Wrogi zabójca zostawił właśnie krwawą szramę na piersi Reyna, na co ten syknął z bólu, ale uchylił się przed kolejnym ciosem. Po tym trafieniu przewaga zabójcy zwiększyła się jeszcze bardziej, a taniec śmierci powoli zbliżał się do końca.

Nie pozwolę na to! - Pomyślał elyta, próbując po raz ostatni chwycić swego przeciwnika drugą ręką, którą nie mógł go do tej pory sięgnąć. Wtedy zaś ryknął w gniewie próbując się ponownie podnieść, aż przyciskający go do ziemi zabójca musiał wyczerpać wszystkie siły by go przytrzymać, lecz to nie było wszystko co chciał zrobić. Zasyczał boleśnie, a wtedy jego druga ręka wydłużyła się w przedramieniu i chwyciła zabójcę za bark. Zirin zdążył jedynie wybałuszyć oczy, gdy elyta wyginając kończynę pod niemożliwym kątem włożył w nią całą swoją siłę i grzmotnął nim o ścianę budynku obok.

Siła uderzenia zamroczyła zabójcę, który przez moment leżał tam gdzie został rzucony. Elyta poderwał się natychmiast, podniósł miecz i pobiegł w jego kierunku, by go dobić lecz w

ostatniej chwili, gdy jego ostrze miało już przebić mu serce, zirin zniknął w kłębie dymu, lądując kilka kroków za nim.

- Nieźle... - rzekł zabójca, nieco niewyraźnie - ale mogę tak... bez przerwy. Nigdy mnie nie złapiesz.

- ON KŁAMIE! - Ryknął Reyn, dostrzegając kątem oka co się stało. - Przez dziesięć sekund nie może znów skoczyć, zabij go!

- Zamknij gębę - syknął łucznik, przedzwaniając mu rękojeścią w zęby i o mało co wbijając drugie ostrze w twarz, lecz Reyn rozpląnął się w kłębie dymu i pojawił kilka metrów obok. Łucznik natychmiast podążył za nim, lecz Reyn znów się przeniósł, a na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji. Grał na czas i oszczędzał siły na skoki, by w odpowiednim momencie dołączyć do strażnika, w którym pokładał nadzieję. Początkowo sądził, że popełnił błąd, a wrogowie okazali się zbyt silni, ale teraz widział, że się mylił.

Elyta nie potrzebował dodatkowej zachęty, by ruszyć na swego przeciwnika. Zabójca nieporadnie uniósł swą broń, ale był ewidentnie ogłuszony od ciosu w budynek, który niemal pozbawił go przytomności. Strażnik zaszarżował na niego, wybił ostrze z ręki silnym ciosem i tym razem bez zawahania rozplątał mu gardło. Ciało zirina osunęło się pod ścianą, a krew z przeciętej szyi trysnęła na ulicę. Elyta jednak na to nie patrzył, odwrócił się natychmiast i pobiegł do Reyna, uparcie walczącego o przeżycie.

Cholera! - Pomyślał Reyn, gdy ostrze wroga wybiło mu z ręki własny miecz i pomknęło już ku jego twarzy. Wykorzystując resztki energii przeniósł się jednak za jego plecy i kopnął mocno w tył kolana, wytrącając z przeciwnika z równowagi, a potem chwycił najmocniej jak tylko mógł unieruchamiając mu ramiona.

- Chodź tu, szybko! - Zawołał do biegnącego strażnika. – Kurwa, nie utrzymam go!

- Ty... - łucznik ryknął wściekle, z każdą sekundą rozluźniając uścisk Reyna, którego mięśnie nie miały już sił.

Nagle, jego uchwyt całkowicie zelżał, a łucznik wyrwał się z jego uścisku, gdy w plecy Reyna wbił się sztylet. Ten sam, który niedawno zostawił w innym przeciwniku. Zabójca z ułamaną maską dopiero ich dogonił i z ekstatyczną satysfakcją ugodził Reyna tuż obok łopatki, a potem nachylił się nad jego uchem i szepnął niczym kochanek.

- Oddaję co twoje.

Ból niemal oślepił Reyna, a jego mięśnie całkowicie zwiotczały, niezdolne do czegokolwiek. Jednakże z niespodziewaną raną, przybył także ratunek.

- Uwa... - odezwał się tylko łucznik próbując ostrzec towarzysza przed szarżującym elyckim strażnikiem, ale ten był zbyt pochłonięty swoją małą zemstą, a upływ krwi przytępił mu jeszcze zmysły.

Elyta wpadł na niego i uderzył barkiem niczym taran, odrzucając go przed siebie jak szmacianą lalkę, a kolejnym zamaszystym ciosem ściął głowę łuczniaka, którego ciało upadło na ziemię. Przewrócony zabójca podniósł się i spojrzał na nowego przeciwnika. Kącik jego ust widoczny spod ułamanej maski uniósł się w uśmiechu, który jednak szybko zniknął, gdy wydłużona ramię elyty chwyciło go za szyję i przyciągnęło w jego stronę nabijając na miecz.

Zabójca stęknął i odetchnął głęboko, a krew popłynęła mu z ust obfitym strumieniem, ale ku zaskoczeniu strażnika, zamiast wyzionąć ducha, ten uniósł nagle swą broń szykując się do paskudnego ciosu.

Był jednak zbyt wolny.

Elyta wykazując się instynktem samozachowawczym, instynktownie puścił rękojeść swego miecza i odskoczył, umykając poza zasięg przeciwnika.

- Uh – zabójca stęknął, patrząc na klingę wystającą mu z ciała. – Nie zapomniałeś czegoś?

Z tymi słowy, nieporadnie spróbował wyciągnąć z siebie ostrze, ale jego zakrwawione palce okazały się zbyt bezwładne, by porządnie chwycić.

- Czym ty jesteś?!

Zabójca prychnął.

- Chciałbyś wie...

Nim było mu dane skończyć, wstrząsnął nim gwałtowny atak kaszlu, po którym splunął obficie krwią. Część jego twarzy widoczna spod maski była cała spowita szkarłatem przez co jego uśmiech przyprawił elytę o dreszcz.

Ręce elyty drżały od pompującej adrenaliny gdy patrzył szeroko otwartymi oczami pełnymi niedowierzania jak zabójca, który powinien już nie żyć, wciąż przebity na wylot idzie w jego kierunku niczym istota pozbawiona bólu, kierowana cudzą wolą. Część jego twarzy widoczna

spod maski była zalana krwią, tak jak zęby które odsłonił w uśmiechu jakby wcale nie walczył o życie, ale brał udział w jakiejś grze. Ten widok sprawił, że cofnął się o krok.

- No i czego tak stoisz?! – zawołał do niego Reyn. – Zabij go! Ledwo żyje, celuj w głowę!

Elyta spojrział na niego. Zirin wciąż na kolanach, opierał się na dygoczących rękach i ledwo był w stanie się ruszać, ale wciąż obserwował sytuację. A teraz patrzył na niego. I oczekiwał, że coś zrobi.

- Może byś się tak... w końcu zamknął? – wychrypiał zabójca, zmieniając kierunek w stronę Reyna.

Wtedy, w elycie coś drgnęło. Potrząsnął głową jakby chciał otrząsnąć się z zalewających go myśli, zacisnął zęby, dobył długiego sztyletu przy pasie i z okrzykiem mającym bardziej dodać otuchy jemu samemu niż przerazić przeciwnika, rzucił się naprzód.

Widział jak zabójca przyjmuje pozycję obronną i przygotowuje własny miecz do ciosu, ale nie dbał o to. Przyjął cios na lewe ramię i dosłownie go staranował. Zabójca padł jak długi i nic więcej nie zdążył już zrobić, gdy strażnik ogarnięty szalem adrenaliny dopadł do niego i dźgnął go w szyję, w pierś, a na zakończenie prosto w oko, przez otwór w masce aż po samą rękojeść, by mieć pewność, że tym razem już nie wstanie.

Gdy zabójca znieruchomiał, elyta wyciągnął sztylet, odrzucił go na bok i odetchnął głęboko. Ręce wciąż mu drżały gdy omiół wzrokiem całe krwawe pobojuwisko. Nigdy nie widział tyle krwi. Nie mógł uwierzyć, że on to zrobił.

Wtedy jednak znów dostrzegł Reyna, którego zwykle ciemnogrnatowa skóra, teraz była przynajmniej o dwa odcienie jaśniejsza. Dopiero teraz zauważył rękojeść wystającą mu z pleców.

- Na łaskę Avienela, Reyn! Trzymaj się, pomogę ci!

Z tymi słowy, podniósł się i podbiegł do niego, jakby nieco bardziej przytomny niż wcześniej.

- Nic ci nie jest? – zapytał, gdy się zbliżył.

Reyn miał ochotę zdrowo mu nagadać za tak beznadziejnie głupie pytanie, ale zwyczajnie nie miał na to siły.

- A jak sądzisz, bystrzaku?

- Eee... no tak, przepraszam. Pomogę ci wstać.

Reyn jednak odgonił go słabym machnięciem ręki. Zamiast tego usiadł jedynie w nieco wygodniejszej pozycji, starając się nie ruszać plecami.

- Nie chcę wstawać – odparł – muszę tak chwilę posiedzieć... a ty nie trać czujności. Może ich być więcej.

Strażnik poderwał od razu głowę i rozejrzał się, ale nie dostrzegł zagrożenia.

- Nikogo nie widzę.

- To nic nie znaczy. Bądź czujny i... dzięki, za pomoc – dodał niewyraźnie.

Elyta uśmiechnął się szeroko na jego podziękowanie, co mieszało się ze zmartwieniem widocznym na jego twarzy. Widział, że zirin oddycha płytko, a gdy tylko jego pierś unosiła się bardziej, na jego twarzy pojawiał się równoczesny grymas bólu. Z całych sił, starał się kontrolować oddech, którego jego serce i płuca tak bardzo potrzebowały.

- Nie ma za co - odparł elyta - daj, wyciągnę ci ten sztylet. Pewnie bardzo boli.

Ale gdy jego ręka już sięgała do klingi, Reyn znów go powstrzymał.

- Nie. Później.

Gdy elyta posłusznie cofnęła rękę, zirn zacisnął palce na drzewcu strzały wciąż tkwiącym mu w boku i pewnym ruchem wyrwał go z siebie i odrzucił na bok. Następnie rozpiął guziki swej skórzanej kurtki i sięgnął do jednej z wewnętrznych kieszonek, z której wyjął niewielką, ciemną sakiewkę. W środku znajdował się biały proszek, który wysypał sobie na dłoń, po czym starannie wtarł go w ranę w boku. Substancja ta potrafiła z zadziwiającą skutecznością tamować nawet poważne krwawienie, ale ku jego niezadowoleniu, to były resztki, które nie wystarczą na pozostałe obrażenia. Powinien wcześniej uzupełnić zapasy, ale kto by się spodziewał, że sytuacja tak się potoczy?

- Wygląda na to, że sztylet na razie musi zostać – przyznał Reyn. - Tamuje krwawienie, a nie przebiło mi płuca, przeżyję.

Elyta kiwnął głową.

- Ale przecież... trzeba ci jakoś pomóc, jesteś ranny.

- Zaprowadź mnie do jakiegoś chirurga, albo zwykłego lekarza - odparł Reyn, ze wszystkich sił starając się zachować przytomność.

Elyta wyglądał na strapionego.

- Nie mamy takich. My się regenerujemy, nie potrzebujemy... - podrapał się po głowie. – A, nie, jest jeden dla podróżnych, ale to daleka dzielnica, kawał drogi i nie wiadomo czy będzie... ale nie ma sprawy, najwyżej cię zaniosę.

Reyn jednak pokręcił głową.

- A bliżej? Ktokolwiek kto umie posłużyć się igłą? Nawet szewc.

Twarz elyty rozpromieniła się.

- Tak, takiego znam. To w końcu dzielnica rzemieślników. Stary będzie teraz pewnie w gospodzie jak co wieczór.

- Co wieczór, mówisz? Pewnie nie pije tam wody. Zaszycie mi jedną ranę i podziurawi w trzech innych miejscach? Dzięki, takiej pomocy potrzebowałem.

- Nie pije tak znowu dużo... - elyta wyglądał na nieco zakłopotanego - i dobry jest w swojej robocie, naprawdę.

- Nie dzięki, mam inny pomysł. Po prostu zaprowadź mnie do jakiejś gospody, a ja zajmę się resztą.

Strażnik kiwnął głową.

- No dobrze, ale w razie czego to pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. W czymkolwiek, wystarczy że poprosisz.

Reyn skinął mu jedynie głową.

- I ten... - elyta ewidentnie się krępował - naprawdę jesteś „cicha śmierć” Reyn? Ten Reyn? Nie żebym ci nie wierzył, widziałem jak się broniłeś ledwo stojąc na nogach i jak się przenosiłeś, ale... wiesz.

- Tak, to ja – odparł. - Przecież w straży musieli wam pokazać mój portret żebyście mogli mnie rozpoznać. Mój znak na płaszczu też powinienś znać - uniósł rąbek swego okrycia pokazując go elycie, którego twarz rozpromieniła się na ten widok.

- Niemal nie mogę w to uwierzyć... to wielki zaszczyt móc cię w końcu spotkać – wyrzucił z siebie, nieco za szybko niż powinien. - Wiele o tobie słyszałem, wiesz... - wyraźnie chciał coś

dodać, ale zabrakło mu słów. Zamiast tego zdjął hełm i po prostu wyciągnął do niego rękę – Jestem Gen.

Oczom Reyna ukazała się młoda twarz o jasno-zielonym odcieniu i o pogodnym, zdawałoby się wiecznie uśmiechniętym wyrazie. Jego włosy były krótkie i brązowe, przywodzących na myśl swą barwą, świeże, zdrowe drewno. Był jednym z najmłodszych elytów jakich do tej pory widział, a pewnie jeśli chodzi o liczby, był nawet młodszy od niego, a on przecież nie był jakoś specjalnie stary, miał ledwie trzydzieści osiem lat. Dopiero teraz dostrzegł w jego rysach zadowolenie wymieszane z podnieceniem, jakby cała sytuacja sprawiła mu nieopisaną radość. Przez moment miał ochotę go zapytać, co go tak cieszy, ale szczerze powiedziawszy miał to gdzieś. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż dociekanie źródła tego wybuchu euforii, więc jedynie w milczeniu podał mu rękę i skinął mu głową.

- To co, idziemy? – zagadnął znów elyta. – Gospoda jest niedaleko.

- Zaraz. Jak teraz wstanę to się chyba porzygam.

- No dobra... ale na pewno nie umrzesz jak tu trochę posiedzisz? Wiem, że inne rasy umierają jak się pozwoli, by wyciekło im za dużo płynów.

- Nie, to nic takiego. Kilka draśnięć, a to na plecach samo się tamuje.

Przypadkiem mnie tak czysto trafił, czy specjalnie ominął organy? - Myślał Reyn, analizując sytuację. - Mógł mnie zabić na kilka różnych sposobów, ale tego nie zrobił... dlaczego?

- Skoro tak twierdzisz - odparł elyta, z troską na twarzy - ale jak to się wszystko zaczęło? Było ich więcej niż tych dwóch, co nie?

- Było - wychrypiał w odpowiedzi - łącznie sześciu, a każdy... poza może jednym, był dziwny. Po prostu na mnie skoczyli, najpierw jeden, potem drugi, a potem kupą. Ktoś musiał ich wynająć, a ja muszę wiedzieć kto... - spojrzał na niego badawczo. - Hmm... chciałeś mi pomóc i chyba wiem jak możesz to zrobić. I tak musiałbyś się tym zająć strażnik, więc dwie pieczenie na jednym ogniu. Ja przez chwilę muszę jeszcze tak posiedzieć, ale trzeba przeszukać ciała. Nawet mały szczegół może powiedzieć do jakiej grupy należą lub dla kogo pracują, a ja muszę to wiedzieć, bo to na pewno nie jest koniec. Nikt kto zainwestował w sześciu zabójców nie podda się po jednej próbie. Gdy był to jeszcze jeden, to myślałem, że może któryś z wolnych strzelców chce mnie sprzątnąć, ale to była akcja zorganizowana, a zirini nigdy nie współpracują, więc ten ktoś musiał sypnąć nie lada groszem, by ich przekonać.

Elyta przesunął wzrokiem po martwych i kiwnął głową.

- Wiedziałem - mruknął - tylko dwóch, by cię tak nie urządziło - spojrzał na niego. - Zajmę się tym, mam zwrócić uwagę na coś konkretnego?

Reyn kiwnął głową.

- Przeszukaj kieszenie, sprawdź czy mają przy sobie jakieś monety lub papiery, a potem musisz ich rozebrać i poszukać znaku. Wiele grup oznacza swoich członków nawet prostym tatuażem i sprawdź jakiej rasy jest ten nieśmiertelny skurwiel - wskazał na ciało zabójcy z ułamaną maską. - Wcześniej wbiłem mu sztylet w pierś i przebiłem mieczem, a on zdawało się, że nawet nie poczuł.

Elyta kiwał gorliwie głową, chłonąc jego wszystkie wyjaśnienia jak gąbka wodę.

- Mhm, mhm, ja też go przebiłem, a on dalej chciał mnie zabić. Nie słyszałem o żadnej rasie, która mogłaby czegoś takiego dokonać. No może poza elytami, ale nawet my czujemy ból, a on...

- Dokładnie. Dlatego musimy to sprawdzić.

Elyta kiwnął głową i wyprostował się, ale gdy tylko ruszył w kierunku pierwszego ciała, aż wryło go w ziemię. Chciał sprawdzić pierwszego zabójcę, z którym walczył, ale jego ciało zniknęło, a w miejscu w którym powinno leżeć widział jedynie ślad krwi prowadzący do najbliższej ulicy.

- Na łaskę Avienela – powiedział do siebie, przyciągając uwagę Reyna – gdzie on się podział? Nie ma ciała!

Reyn spojrzał na niego, a potem w miejsce gdzie patrzył i pokiwał głową.

- Pewnie uciekł. Jak go zabiłeś?

- Odciałem mu rękę i przeciąłem gardło...

Reyn kiwnął głową.

- Więc zwiął. Trzeba było mu obciąć głowę, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałeś.

- Ale... nawet jeśli tego nie zrobiłem, to i tak powinien się wykrwawić, nie? Nawet jeśli był odporny na ból.

- Przecież już ustaliliśmy, że nie są normalni. Można założyć, że tego też można było zabić tylko w jeden sposób.

- Może... może nie umknął daleko, tylko leży gdzieś dalej. Sprawdzę.

Z tymi słowy pobiegł przed siebie do alejki, w którą prowadził go ślad krwi, ale wrócił po ledwie chwili, ewidentnie rozczarowany.

- Ślad prowadzi wzdłuż ściany warsztatu, ale potem się urywa.

- Pewnie skoczył – wyjaśnił Reyn. - Może być gdzieś w okolicy albo odpuścił. Może i nie zginął, ale pewnie jest zbyt słaby, by zaatakować.

- Nie dam rady go znaleźć. Nie ma szans – powiedział zawiedziony elyta.

- Wiem. Nic na to nie poradzimy. Weź się za następnego i spadajmy stąd jak najszybciej.

Gen kiwnął głową i ruszył w stronę „nieśmiertelnego” zabójcy, przy którym bardzo szybko odkrył coś dziwnego.

- To nie zirin - zawyrokował, czym nie zaskoczył Reyna, który już to wiedział. - Jego skóra jest jasna i gładka, nawet blada, włosy rzadkie, zęby równe i żółtawe, nie ostre i bez kłów, a uszy hmm... - zapatrzył się na nie, odgarnawszy z nich włosy - jakieś takie... jajowate? Nie spiczaste, też jasne, a oczy niebieskie. - Pokręcił głową. - Nie wiem kto to jest, słyszałeś o czymś takim?

Reyn zastanowił się przez moment, a gdy coś przyszło mu do głowy, wybałuszył oczy w niedowierzaniu. No chyba, że się mylił. Wstał więc chwiejnie mimo bólu i pod czujnym okiem elyty zbliżył się do zwłok, a gdy zobaczył to co opisał mu Gen, odetchnął głęboko.

- To człowiek.

Cholerny człowiek, którego nie widziano od wieków i który ponoć wyginął - dokończył w myślach.

- Człowiek? Jesteś pewien? - zapytał Gen z powątpiewaniem. - To znaczy, wiesz, przecież nikt ich nie widział od setek lat, więc skąd możesz mieć pewność?

Reyn pokręcił głową.

- Znam kilku magów z Astry, którzy są przecież identyczni jak ci dawni ludzie, których znaliśmy. Nie da się pomylić tego prostego uzębienia i kształtu ucha.

Co to ma znaczyć do cholery? - Pytał sam siebie, czując w trzewiach dziwny niepokój. - Przecież nie mógł od tak sobie pojawić się w mieście, jak gdyby nigdy nic.

Może i od dawna nie widziano już ludzi, ale historie o nich wciąż były żywe i miały nigdy nie zostać zapomniane. Wryli w krainach zbyt wiele bruzd i zostawili zbyt wiele blizn, by można było o nich zapomnieć. Póki istnieli jako zorganizowana nacja, byli przyczyną licznych konfliktów i wojen z powodu których zginęły tysiące istnień. Wszystko to istniało do czasu, gdy wypowiedzieli o jedną wojnę za dużo, a reszta ras postanowiła usunąć ich z map świata, tak jak wycina się szpecący ciało czyrak. Zrobili to bardzo skutecznie, czego wynikiem była niemal całkowita eksterminacja tego wojowniczego ludu. Wiedziano, że pojedyncze jednostki lub niewielkie grupy mogły gdzieś przetrwać, ale ukrywały się, wiedząc, że zostali wyklęci z cywilizowanego świata, więc dlaczego właśnie dzisiaj i właśnie w tym mieście znalazł się jeden z nich, który w dodatku postanowił go zabić?

- Ale... - Gen nie poddawał się - z tego co wiem, ludzie łatwo umierali. To znaczy, tak jak pozostałe rasy. Ten by zginął od ciosu sztyletem, który mówiłeś, że mu zadałeś, gdyby naprawdę nim był, a przeżył wszystko co mu zrobiliśmy i dalej chciał walczyć.

- Wiem, do cholery – Reyn warknął ostro. - Widziałeś kiedyś astrastczyka? Gdybyś widział to też miałbyś pewność. Nie wiem jak to wyjaśnić, może dawni ludzie tak umierali, a ten z jakiegoś powodu nie jest normalny, ale to na pewno człowiek.

Gen również wlepił swoje spojrzenie w martwego, po czym gdy Reyn nic więcej nie dodał, wziął się do dalszej pracy i po chwili znów znalazł coś niecodziennego. Gdy zdjął rękawiczkę z jego dłoni, dostrzegł na jej wnętrzu znak, czarna kulę z ostrzami wystającymi z niej w pionie i w poziomie. Całość otoczona była czarnym okręgiem dotykającym swą linią czubków ostrzy.

- Ma jakiś znak. Znasz go? – Pokazał swe znalezisko Reynowi, który przyjrzał mu się w skupieniu, ale również pokręcił głową.

- Nie, ale to już jest jakaś podpowiedź. Mogą być inni, którzy będą wiedzieć do jakiej grupy należeli.

Gdy to powiedział, przyjrzał się jeszcze znakowi z bliska i zapisał go w pamięci. Później odtworzy go na papierze.

- Sprawdź na łuczniku – skinął głową w stronę kolejnych zwłok.

Elyta kiwnął głową, a po chwili odkrył na jego dłoni ten sam symbol.

- Jest.

- Czyli jedno już wiemy – powiedział Reyn - należeli do tej samej organizacji i to takiej, na której członków jeszcze nie trafiłem.

- Aż do dzisiaj - zauważył Gen.

- Aż do dzisiaj - mruknął Reyn, krzywiąc się.

Niezły był z ciebie kawał skurwiela - pomyślał zirin, patrząc na bezgłowe ciało łuczника. Był naprawdę dobry, tak jak i ten człowiek, oraz prawdopodobnie każdy z nich. - Wszyscy na tak wysokim poziomie, a ja o was nie słyszałem? Ale dowiem się sukinsyny. Dowiem się o was wszystkiego.

Jednakże gdy tylko o tym pomyślał i zacisnął pięści w gniewie, jego ciało dało mu jasno do zrozumienia, że być może i się dowie, ale na pewno nie teraz i nie dzisiaj. Nagła fala słabości przeszła przez niego i zachwiała jego równowagę, tak, że prawie się przewrócił. Uklęknął, przytrzymując się dłonią ziemi, póki słabość nie minęła. Gdy uznał, że już po wszystkim, wstał, a wtedy tuż obok stał już Gen.

- Wszystko w porządku?

- Taa - rzucił mu tylko - chodźmy już do tej gospody. Tu już nic dla nas nie ma.

Elyta kiwnął głową.

- W porządku, to niedaleko. Pomóc ci iść?

- Dam sobie radę.

I poszli, a przez całą drogę Reyn zaciskał zęby z bólu. Póki siedział lub przynajmniej stał w miejscu, ból był do zniesienia, ale gdy tak szedł krok za krokiem, za każdym razem zdawało mu się, że ktoś trzyma rękojeść sztyletu i kręci nim na wszystkie strony. Rana w boku paliła, ta na piersi szczypała, a w połączeniu z tym wszystkim, nawet draśnięcie na ramieniu zaczynało irytować. Wkrótce jednak, ku jego wielkiej uldze, dotarli do gospody „Pod Bukiem”, którą ukształtowano na wzór wielkiego, grubego drzewa, które dodatkowo, znajdowało się jeszcze pod prawdziwym, jeszcze większym drzewem – rzecz jasna bukiem.

Gdy tylko znaleźli się w środku, natychmiast owiał ich zapach gotowanych potraw. Reyn wyczuł zapach kilku znanych przypraw, oraz ku swemu zdumieniu, prawdziwe mięso. Gdyby nie miał tak wielkiej ochoty wyrwać sobie z pleców tego żelaznego cholerstwa, to by się nawet

ucieszył, że w końcu zje coś normalnego, ale teraz ani taka perspektywa, ani przyjemny dla oka widok gospody nie usmierzył mu bólu ani o jotę.

Wnętrze budynku urządzone w przytulnej atmosferze domowego ogniska, którego łagodny brząz rozświetlony był przez jasny płomień tańczący w palenisku, oraz rozstawione tu i ówdzie fantazyjne kaganki. Wszystkie meble sprawiały wrażenie jakby wyrosły z podłogi i w żaden sposób nie dało się ich poruszyć i tak też zapewne było. Tutejsi goście także wyróżniali się na tle miejsc, w których do tej pory bywał Reyn. Jeden rzut oka wystarczył, by mógł stwierdzić, że zbierali się tu mieszkańcy klasy średniej: zwykli robotnicy lub co najwyżej rzemieślnicy i pracownicy okolicznych warsztatów. Jednakże ich twarze prezentowały znacznie bardziej życzliwy wyraz niż te wyniosłe, które do tej pory widział w bogatszych dzielnicach. Kilka z nich przeniosło na nich swe spojrzenie, z ciekawością typową dla tych, którzy na co dzień i od lat obracali się jedynie we własnym gronie. Niektórzy wskazali na nich palcem, a Gen pozdrowił ich kiwnięciem głowy.

- Poczekaj chwilę - zwrócił się do Reyna - zaraz wszystko załatwię.

Łowca kiwnął głową i obserwował jak młody elyta podchodzi do szynkwasu i wita się z tutejszym karczmarzem jakby od dawna się znali. Gdy to zrobił, jeszcze więcej osób pozdrowiło go, a nawet wstało i objęło go na powitanie, na co chętnie odpowiadał. W pewnym momencie, karczmarz spojrzał wprost na Reyna, zapewne gdy Gen o nim wspomniał i kiwnął głową. Chwilę po tym odwrócił się sam elyta i zawołał go ruchem dłoni, na co zirin ruszył w ich stronę.

Gdy tylko się zbliżył, Gen odchrząknął i uderzył kilka razy dłonią w blat, by zwrócić na siebie uwagę miejscowych.

- Panowie! Nie wiem czy wiecie kim jest nasz gość! To Reyn, zwany „cichą śmiercią”! - Przemówił głośno, zaś Reyn wlepił w niego zdumione spojrzenie, ale nim zdążył coś zrobić, Gen mówił dalej. - I dziś została przeprowadzona próba zamachu na niego przez sześciu zabójców, a ja mu pomogłem! -Spojrzał na niego. – Prawda, Reyn?

Łowca zmrużył oczy widząc tę szopkę. Co to miało być? Chciał wykorzystać jego reputację by poprawić swoją własną wśród miejscowych? Było to tak absurdalne, że być może w innej sytuacji nawet uznałby to za sprytne, ale to nie była jedna z nich. Nóż w plecach dobitnie mu o tym przypominał.

- W chuja sobie lecisz? Potrzebuję pokoju, a nie tych bzdur.

Mina Gena zrzęda, ale wtedy odezwał się jeden z gości gospody, brązowoskóry elyta w średnim wieku.

- To nie jest pan tym Reynem? Gen kłamie?

- Nie – odwarknął – jestem Reyn i tak, był zamach, ale niech mnie Oberon powie, jeśli będę wam teraz odpowiadał na jakieś durne pytania, kiedy właśnie wykrwawiam się na śmierć. Macie tu jakiś wolny pokój, czy mam iść gdzieś indziej?

Goście popatrzyli na niego i jakby dopiero teraz zobaczyli jego rany i krew na ubraniu, a Genowi zrobiło się bardzo, ale to bardzo głupio.

- Mamy, jasne. – odparł zestresowany. - Już... wszystko załatwiłem. Chodź.

Mówiąc to, zgarnął ze stołu klucz położony tam przez karczmarza i ruszył w kierunku schodów. Zirytowany Reyn poszedł za nim, ale zatrzymał się w połowie drogi, gdy mijał jedną z dziewczek służebnych.

- Ty, dziewczyno, miałaś kiedyś igłę w rękę?

Elytka przekrzywiła głowę.

- Tak, panie. Czemu pytacie?

- Będę potrzebował twojej pomocy. Ktoś musi zszyć mi plecy. Przyjdź za kilka minut do mnie, tam gdzie prowadzi mnie ten elyta... - skinął na niego głową, starając się przypomnieć sobie jego imię - Gen. Zapłacę.

Dziewczyna zamrugła zdezorientowana.

- Zszyć... ci plecy, panie? Ale jak to tak? To dziwne.

- Nie dziwne. Inne rasy tak robią. To nic trudnego.

- No dobrze panie, dajcie mi chwilę, tylko skończę zbierać naczynia z sali.

- Weź ze sobą igłę i cienką nić, najlepiej czarną. I butelkę jakiegoś trunku, byle mocnego. Wódkę na przykład.

Gdy dziewczyna skinęła głową i odeszła, Reyn ruszył schodami za Genem. Elyta zaprowadził go na piętro, które jak wypisz wymaluj wyglądało jakby jakaś wielka larwa wgrzyzła się w korę drzewa i wydrążyła zębami cały korytarz, a dopiero potem ktoś wmontował drzwi po obu stronach. W każdym innym miejscu tak kanciaste i toporne przestrzenie byłyby nie do przyjęcia,

a nie jednego szanującego się architekta doprowadziłyby do palpacji serca, ale tutaj było to odbierano jako stylowe. Reyna nic to nie obchodziło, chciał jak najszybciej dostać się do swojego pokoju.

- To tu - rzekł Gen, otwierając drzwi i odwracając się do niego, gdy dotarli do właściwych drzwi. – Widziałem, że rozmawiałeś z Elyszą. To dobra dziewczyna i ma wprawna rękę, ale gdybyś wolał prawdziwego chirurga to pošlemy kogoś.

- Nie chcę - odparł natychmiast - chcę stąd jak najszybciej wyjechać. Załatwię to, prześpię się i rano stąd spadam. I jeszcze jedno – spojrzał na niego poważnie. – Nie każ mi więcej czekać przez jakieś głupie gadki, gdy w plecach tkwi mi kawał żelaza. Rozumiesz?

- Tak, przepraszam. Po prostu... - mówił zakłopotany - nie mogłem się powstrzymać. To... mogę to wyjaśnić.

Reyn pokręcił głową.

- Nic mnie to nie obchodzi. Daj klucz.

Gdy Gen posłusznie podał mu przedmiot, Reyn spojrzał na niego spod zmrużonych brwi.

- A teraz jeśli łaska, mam coś do zrobienia - rzekł bezceremonialnie, po czym wszedł do pokoju. Od razu popchnął za sobą drzwi, lecz nie usłyszał spodziewanego trzasku zamka. Odwrócił się i zobaczył Gena przytrzymującego je ręką i patrzącego na niego wzrokiem pełnym zmieszania. Zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział jak.

- Posłuchaj - Reyn syknął przez zęby, ze wszystkich sił starając się zachować spokój. - Jestem ci wdzięczny, naprawdę, ale gdy normalne rasy krwawią przez wystarczająco długi czas to później umierają, wiesz? Więc daj mi zrobić swoje do cholery.

Gen wydawał się speszony, jakby jego ton wybił mu z głowy to co chciał powiedzieć.

- Ja... rozumiem, ale chciałem tylko...

Reyn nie wytrzymał.

- Nie masz nic do zaraportowania na posterunku, co? Nie wiem, może coś o trupach na ulicy? Więc idź i to załatw i daj mi spokój. - Tracąc na chwilę panowanie nad sobą, odepchnął go od drzwi i zatrzasnął mu je przed nosem.

Co za uparty typ. Co on się tak do mnie przyczepił jak rzep do psiego ogona? Zirytowany pokręcił głową, tylko po to by przeszył go kolejny spazm bólu. Miał wrażenie, że od tego gówna w plecach już jego własna ślina smakowała mu metalem.

Niech ta dziewczyna się pospieszy, bo mnie zaraz szlak trafi.

Zirytowany usiadł na łóżku swego pokoju, który jak na to gdzie się znajdował, wyglądał całkiem zwyczajnie. Jedno łóżko, ładne, duże lustro, świeczniki, skrzynia, fotel i sofa. Jeśli nie liczyć dużej drewnianej rzeźby Avienela ustawionej przy oknie oraz tego, że meble tak samo jak na parterze wyrastały z podłogi, mógłby równie dobrze pomylić ten pokój z jakimkolwiek innym w Baszkarze.

Elytka którą zagadnął na dole nie dała mu długo czekać. Minęło ledwie kilka chwil nim rozległo się pukanie do drzwi.

- To ja, panie Reyn. Przyszłam jak pan prosił.

- Wejdz.

Dziewczyna weszła do środka spokojnym krokiem, niosąc w rękach wszystko o co prosił. Rozłożywszy przedmioty na stoliku odwróciła się do niego.

- Co mam robić, panie?

- Pokażę ci, ale na początek wyciągnij mi to gówno z pleców. Jednym ruchem, zdecydowanie.

Z tymi słowy wstał i odwrócił się do niej. Spodziewał się pytań jakie mogłaby zadawać nieznająca innych ras dziewczka, czy jest pewien, że ma to zrobić albo coś innego, ale ku jego zadowoleniu wypełniła polecenie sprawnie i bez szemrania. Nawet nie drgnął, gdy stał w końcu opuściła jego ciało.

- Boli? – zapytała go z troską przyglądając się uważnie jego ranie. Delikatnie położyła dłoń na jego plecach jakby chciała go uzdrowić dotykiem.

- To nic takiego – odparł krótko.

- I... co teraz? Nie zazdroszczę, że wasze rany nie leczą się same. To musi być bardzo kłopotliwe.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Leczą, ale za wolno, by zostawić je samym sobie. Teraz krok drugi – oznajmił po czym ściągnął z siebie kurtkę i koszulę – na pewno zszywałaś kiedyś jakąś dziurę, nie? Z raną zrób to samo. Przekłuj się z jednej strony i wkłuj z drugiej łącząc rozstępy skóry, tak jakbyś chciała powstrzymać wodę przed wypłynięciem. Tylko przekłuwaj się przez SKÓRĘ – podkreślił to słowo – a nie mięśnie. Ale najpierw polej ranę tym co przyniosłaś. Mocny alkohol, jak prosiłem?

- Tak, panie. Najmocniejszy jaki mamy.

- Doskonale – rzekł, siadając na krześle przed lustrem. – Jestem gotowy.

*

Musiał przyznać, że Elysa spisała się całkiem nieźle, ale wołał sam zająć się pozostałymi ranami. Nie polegał na innych jeśli absolutnie nie musiał. Ot, taki miał styl.

Na odchodne dodała, że w tej chwili powinni przygotowywać dla niego stawę, którą niedługo mu przyniesie. Od Gena. Na te wieści, Reyn uniósł brew zaskoczony, ale w końcu wzruszył tylko ramionami. Młody elyta zirytował go wcześniej nie na żarty, ale najwyraźniej potrafił być też przewidujący. I mimo, że perspektywa ciepłego posiłku na moment przyciągnęła jego uwagę, to jego myśli prędko odpłynęły w kierunku ważniejszych spraw.

Koszula Reyna i zakrwawione ubranie leżały na podłodze, pozostawiając go nagiego od pasa w górę. Wciąż siedział na krześle przed lustrem i wpatrywał się w swoje rany, a każda z nich zadawała mu te same pytania. Kto zlecił jego zabójstwo? Skąd się wzięli? Czy uderzą ponownie? Czym była organizacja, której symbol nosił? Nie znał jej, ale wrogów miał aż nadto by przypuszczać, że to sprawka któregoś z nich.

Podczas swojej pracy zadarł z wieloma ugrupowaniami i organizacjami, które na pewno chciałyby zobaczyć go martwym, a skąd miał wiedzieć jakich jeszcze miały przyjaciół? Na pewno nie znał ich wszystkich. Wiele organizacji nigdy się nie ujawniło lub przez lata działało w cieniu nim wyszło z ukrycia. Tak było w przypadku kultu czaszki, którego jedną z kryjówek zniszczył lata temu. Metoda, którą wtedy wybrał może i nie należała do tych jakie bardowie opiewają w pieśniach, ale jej skuteczności nie można było niczego zarzucić. Wytropił ich kryjówkę, a następnie zatrzał zapasy żywności. Resztę, która stała jeszcze na nogach lub nie była zbyt głodna tej nocy, wykończył swoim ostrzem.

Zadanie to było przeznaczone bardziej dla zakonów lub gildii działających w krainach, ale on zrobił je sam i sam zgarnął całą nagrodę, pozbywając się kilkudziesięciu wyznawców tej

niebezpiecznej grupy, czym pochwalił się przed całym światem. To był moment przełomowy w jego karierze, na pewno dobrze zapamiętany przez liderów innych kultów, nie wspominając o dziesiątkach jeszcze innych gangów, morderców, złodziei i innych, których wsadził za kratki lub czyich partnerów zabił. Horda jego wrogów mogła liczyć setki, jeśli nie więcej osobników i szybko stwierdził, że próba rozwikłania tej zagadki przez pryzmat tego co zrobił była stratą czasu. Musiał pokazać symbol Johanowi i ruszyć swoich informatorów, może któryś z nich będzie coś wiedział, a jak nie oni, to znał kilku oficjeli prawa, którzy byli mu coś dłużni, więc może pozwoliliby mu zajrzeć do swoich archiwów, gdzie przechowywali raporty z badanych przez nich zbrodni. Być może ktoś zostawił kiedyś taki podpis na ciele, jak miało w zwyczaju wielu zabójców.

Chwilę później, w jego głowie pojawiło się kolejne niecierpiące zwłoki pytanie. Skąd wiedzieli, gdzie go znaleźć? Wytropili go? Pokręcił głową, od razu skreślając ten pomysł. Był w dziczy ponad dwa tygodnie tropiąc bandę Darsena i ani razu nie nabrał choćby cienia podejrzenia, że ktoś za nim jechał lub go obserwował. Co prawda, mogli być aż tak dobrzy, ale on przecież też był. To niemożliwe, by różnica między nimi była aż tak duża, by przez tyle czasu niczego nie zauważył. I co ważniejsze - czemu nie zaatakowali wtedy, jeśli udało się im znaleźć jego ślad? To przesądzało sprawę. Nie czekali by do zamachu w mieście, które niosło ze sobą znacznie więcej problemów jeśli mogli go załatwić w lesie, bez świadków.

Musieli wiedzieć, gdzie będą oddawał zlecenie - uświadomił sobie, a ta myśl skierowała go ku jednej osobie - do jego zleceniodawcy, Galbarana. - Ten drań mógł zechcieć odzyskać swoje pieniądze, a może nawet mu zapłacono, by mnie wystawił? Może nawet ta cała sprawa była ukartowana, a Dietreg tylko udawał? Nie potwierdzałem wieści, czy jego rodzinę zamordowano, a jeśli nie, to byłby to idealny sposób, by mnie przechwycić.

Reyn zamyślił się na chwilę.

Nie wystawił publicznego listu gończego, tylko od razu skontaktował się ze mną. Potem mógł powiedzieć komu trzeba, że przyjąłem zlecenie, a wtedy to była już tylko kwestia czasu nim wrócę do miasta i do tego konkretnego domu. Wtedy wystarczyło ich tylko powiadomić, że zwierzyna weszła do pułapki i gotowe. Naprawdę genialne.

Reyn był pod wrażeniem tego planu i póki co wszystko do siebie pasowało. Nawet to, że zareagowali tak szybko. Wyglądało na to, że będzie musiał jeszcze raz złożyć wizytę Galbaranowi i „zapytać go” co wie o tej sprawie, a przy okazji zajrzy też do komnaty Dietrega. A nuż będą się śmiać jeden przez drugiego jak gdyby nigdy nic?

Wtedy z radością pokaże im, że istnieją sposoby jak zabić elytę nie zwracając na siebie uwagi strażników.

Kolejne rozmyślania przerwało mu pukanie do drzwi.

- Panie Reyn, przyniosłam kolację – dotarł do niego głos Elysy, która nie czekając już na pozwolenie, weszła do środka.

W dłoniach niosła dwa sporej wielkości talerze, wypełnione pysznościami, na których zapach, Reynowi aż zaburczało w brzuchu. Prócz tego, na swoją zwyczajową zieloną szatę, miała narzuconą na ramię, prostą, jasną koszulę.

- To dla pana - postawiła posiłek na pobliskim stoliku - a to jeszcze na życzenie Gena. Powiedział, że koszula się panu przyda - rzekła, rozkładając ją na łóżku. W sam raz w jego rozmiarze.

- On jest naprawdę przewidujący - odparł, kiwając głową. - Dzięki, ile za to wszystko? Za kwaterę, alkohol i to?

Elytka pokręciła prędko głową i wyprostowała się.

- Nic, za darmo. Może pan korzystać z czego zechce na czas swojej obecności.

Reyn uniósł brew.

- Niech zgadnę, Gen to załatwił?

Kobieta uśmiechnęła się.

- I tak i nie, to znaczy... ten lokal jest własnością jednego z krewnych pana Gena, a pan Karsken, to znaczy właściciel, ma u Gena dług wdzięczności, więc taka drobnostka to naprawdę nic wielkiego - uśmiechnęła się. - Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, proszę dać znać.

- Łapię - podrapał się po brodzie - i tak się składa, że potrzebuję czegoś jeszcze - informacji. Słyszałaś o kimś takim jak Dietreg Abellar?

Dziewczyna przekrzywiła głowę i zastanowiła się.

- Tak, to muzyk, ale nie wiem nic więcej. Tacy bywają głównie w bogatszych dzielnicach, a nie w takich miejscach jak to.

- Więc pewnie nie wiesz, czy niedawno ktoś zamordował mu rodzinę?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Niestety nie, panie. Nikt się tutaj nie interesuje sprawami bogaczy. Mamy własne sprawy na głowie.

- Rozumiem, ale zapytaj właściciela, czy czegoś nie słyszał. Od razu mnie poinformuj jeśli będziesz coś wiedzieć.

- Dobrze - skłoniła się. - Czy to wszystko?

- Tak, możesz odejść - przeniósł spojrzenie na miski z kolacją. Dochodzący z nich zapach mięsa niemal go obezwładniał.

- W takim razie życzę spokojnej nocy - ukłoniła się ponownie, odwróciła i wyszła.

Reyn natychmiast ruszył do stołu, ale wtedy zdał sobie z czegoś sprawę i żwawym krokiem wyszedł za drzwi. Szczęśliwie, elytka nie zniknęła jeszcze na schodach, więc zawołał za nią.

- Elysa! Przynies mi coś normalnego do picia! Byle bez alkoholu!

- Dobrze, panie! – odkrzyknęła mu, po czym zeszła na dół, zaś Reyn powrócił do komnaty.

Nie miał nic przeciwko mocnym trunkom, ale teraz potrzebował trzeźwego umysłu. Napije się dopiero w kryjówce, gdy będzie wśród przyjaciół. A raczej jednego przyjaciela. Jedyne pośród armii nieprzyjaciół.

Do tej pory mu to nie przeszkadzało. Mimo reputacji i możliwości wciąż był zirinem, wciąż był samotnikiem i nie potrafił nawiązywać trwałych znajomości. Lecz czy następnym razem będzie miał tyle szczęścia? Czy wyjdzie cało z kolejnej zasadzki sześciu innych zirinów? Albo dziesięciu? Piętnastu? To wydawało mu się niemożliwe, by tylu mogło się sprzymierzyć przeciw niemu, ale do wczoraj sądził, że nawet dwójka jest tak mało prawdopodobna, jak to, że słońce nagle zmieni kierunek na niebie, a jednak dzisiejsze wydarzenia były prawdziwe. Ktokolwiek obrał go sobie za cel, nie zrezygnuje i na pewno zaatakuje ponownie.

A on był sam.

Te i wiele innych myśli krążyło mu jeszcze po głowie gdy jadł, odbierając mu radość z posiłku.

Wygląda na to, że moje życie stało się jeszcze bardziej skomplikowane niż wcześniej.

Rozdział 3

Następnego dnia rano, Reyn zszedł na dół i obficie korzystał z otwartego rachunku. Mimo, że stać go było na wszystko co lokal oferował, ba, nawet żeby wykupić go w całości razem z pracownikami, to nawet przez myśl mu nie przeszło, bo wyciągnąć mieszek i zapłacić. Wielu na jego miejscu tak by zrobiło, mówiąc że „tak wypada”, ale nie on. On jadł jakby miesiąc nie widział dobrego posiłku, a popijał przy tym tak obficie, że Elysa musiała mu już donieść drugi dzbanek nektaru z bukowicy.

Gdy akurat zastanawiał się nad poproszeniem o dokładkę, z korytarza na prawo od szynkwasu dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi, a chwilę później, w głównej izbie pojawił się nie kto inny jak Gen. Wciąż zaspany, wręcz wyglądający na ledwo przytomnego, w prostej, szarej koszuli i spodniach tej samej barwy. Ewidentnie właśnie wstał z łóżka, ale na widok Reyna, zamrugął i jakby od razu się obudził.

O nie – zdążył jedynie pomyśleć, zatrzymując łyżkę w połowie drogi do ust. Wiedział co się zaraz stanie.

I tak się stało.

- Dzień dobry - mruknął Gen, dosiadając się do niego. - Widzę, że regenerujesz siły. Jak smakuje?

Reyn milczał przez chwilę.

- Bardzo dobre - odparł w końcu. - Byłem niedawno w „Białej Lili”, ale nawet mięsa tam nie mieli. Dali mi jakieś pędy z sosem. Niby dobre, ale to dużo lepsze.

Elyta uśmiechnął się szeroko.

- Bertch, słyszałeś? - Zawołał do gospodarza za ladą. – Gotujesz lepiej niż Biała Lilia!

Gospodarz roześmiał się w odpowiedzi.

- Zawsze to mówiłem! Gdyby mnie wpuścili do wyższej dzielnicy, to zrobiłbym furorę!

- Oczywiście, oczywiście - wtrąciła się Elysa, niosąca właśnie śniadanie do jednego z pokoi. - Ale panie Karsken, żeby tam trafić, najpierw trzeba umyć wszystkie kufle.

- Już, już, na korzenie Avebium, ty to zawsze zrujnujesz chwilę marzeń! - Spojrzał na siedzących przy stole Reyna i Gena. - Jak moja żona, mówię wam.

- Tylko ładniejsza - rzucił Gen, szczerząc się.

- Uważaj młodzieńcze, bo jak to usłyszysz, to będziesz miał kłopoty! – odparł gospodarz, grożąc mu żartobliwie palcem.

- Wiem, żartowałem tylko - Gen skłonił głowę przepaszająco.

- No! Panie Reyn - Karsken zmienił temat, dostrzegając pustki na talerzu zirina. - Może dokładkę? Widzę, że już pan zjadł.

- Nie, dziękuję - odparł, straciwszy jednak apetyt na więcej. Zamiast tego spojrzął na młodego elytę. - Gen, jako strażnik powinieneś mieć własne mieszkanie lub kwaterę w strażnicy. Dlaczego spałeś tutaj?

Młodzieniec spojrzął na bok, jakby nie wiedział co w pierwszej chwili odpowiedzieć. Wyglądał jak urwis przyłapany na gorącym uczynku.

- Jest taka jedna sprawa – wyksztusił z siebie w końcu. – Wczoraj chciałem cię o coś zapytać, ale nie było kiedy.

Reyn spojrzął na niego badawczo, wierząc go wzrokiem.

- O co chodzi?

Zamiast odpowiedzi, elyta splótł dłonie i zaczął wyłamywać palce. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Reyn wciąż badał go wzrokiem, aż w końcu przewrócił oczami zniecierpliwiony.

- Bogowie, zachowujesz się jakbyś się we mnie zakochał i chciał to wyznać – pokręcił głową, nie mając tyle cierpliwości. – Jeśli to to, to odpuść sobie. Nie jestem zainteresowany.

- Nie, nie! To nie to! – Gen aż się podniósł, tracąc nad sobą panowanie. Dopiero teraz Reyn uświadomił sobie jak naprawdę był młody. Aż trudno było uwierzyć, że to on wczoraj walczył z zabójcami, a teraz, czymkolwiek była ta sprawa, wyglądał jak wstydlivy młodzik. Gen w końcu usiadł i odetchnął głęboko.

- No bo jest taka sprawa. Gdy wczoraj ci pomogłem, powiedziałaś, że mam u ciebie dług, pamiętasz?

Reyn uniósł brew, pojmując wszystko w lot. Oho, nadszedł czas zapłaty.

- Pamiętam. Czego chcesz? - zapytał go. - Mam kogoś zabić? Potrzebujesz pieniędzy albo wstawienia się za tobą gdzieś?

Gen wydawał się oszołomiony tymi propozycjami, bo aż otworzył usta z zaskoczenia, ale szybko je zamknął i wrócił do ściskania dłoni. Przez chwilę.

- To jest pewna przysługa - wydukał - o wiele mniejsza rzecz niż te o których powiedziałaś, ale głupio mi o to prosić...

Reyn westchnął w duchu i machnął ręką.

- No gadajże, przecież nie jesteś dzieciakiem. No chyba, że się mylę?

Wyglądało na to, że po tych słowach Gen zawziął się w sobie i w końcu spojrzał na niego nieco bardziej pewnie, a jego dłonie spoczęły spokojnie na stole. Odetchnął głęboko i w końcu powiedział:

- Pozwól mi pójść z tobą. Chcę pomagać ci w twoich zleceniach i wynieść się stąd.... Pozwól mi... ze sobą podróżować.

Reyn zamrugał i aż nachylił się do niego z wrażenia. Zmarszczył brwi i przekręcił głowę, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Czekał aż Gen wyprowadzi go z błędu, ale gdy ten uparcie milczał, łowca wybuchnął w końcu głośnym śmiechem.

Młodzieniec wyglądał jakby dostał w twarz, a szok na jego obliczu zamienił się po chwili w rezygnację, jakby spodziewał się takiej reakcji. Reyn jednak tego nie zauważył. Śmiał się jakby usłyszał najlepszy dowcip pod słońcem, aż mu łezka z oka poleciała i musiał ją wytrzeć. Gdy w końcu przestał, spojrzał na elytę, który jak mu się zdawało, zzieleniał, zamrugał jeszcze raz.

- Czekaj, mówiłeś poważnie?

Gen milczał przez chwilę, ale w końcu wydukał.

- Tak.

Reyn zagwizdał i pokiwał głową z uznaniem, celując w niego palcem.

- No, czegoś takiego to się nie spodziewałem, ale nie ma mowy. Zapomnij.

- Może chociaż...

- Gen. Nawet gdybym to rozważał, czego nie robię, to nie przydasz mi się. Prowadzę szybkie i niebezpieczne życie, w którym potrzeba dyskrecji, precyzji i szybkości, a ty jakby na ciebie nie patrzeć, nie jesteś zabójcą, złodziejem, ani szpiegiem, więc nie masz umiejętności, które mogłyby mi się przydać w czymkolwiek. Wymyśl coś innego.

- Wysłuchaj chociaż skąd ta prośba... to nie dlatego, że jesteś sławny i chcę się podpiąć. Pozwól mi chociaż wyjaśnić. Chociaż tyle za to, że wczoraj ci pomogłem. Chyba nie proszę o zbyt wiele?

Reyn machnął w końcu ręką, chociaż wiedział, że i tak nie zmieni zdania.

- Niech będzie. Mów.

Gen chrząknął.

- To... to trochę skomplikowane i wiem, że będzie brzmieć dziwnie... ale widzisz... Dobra, zacznę od początku. Nie wiem czy wiesz, ale w Avebium istnieje schemat społeczny, który definiuje każdego zaraz po urodzeniu. Każą ci zajmować się tym co robi twoja rodzina, a ja nie chciałem tego robić, mimo że mnie zmuszali. Mówili mi że takie jest moje przeznaczenie i że nie mogę tego zmienić. Byłem nieszczęśliwy gdy próbowałem to robić, sądziłem że nie ma innego wyjścia, że jestem na to skazany, ale wtedy usłyszałem o kimś. O zirinie, który również powiedział „nie” schematowi społecznemu i rasowemu. Ten zirin nie chciał żyć jak jego bracia, choć na pewno mówili mu, że musi. Chciał żyć inaczej i zrobił to. - spojrzał na niego z uśmiechem.

- Wiesz... dałeś mi siłę i zainspirowałeś mnie. Dałeś mi nadzieję nawet jeśli mnie nie znałeś. Twoja historia tak przypominała mi moją... Ja też czuję, że muszę żyć inaczej, a dzięki wieściom o tobie, nie poddawałem się mimo pogardy mojej rodziny, wyszydzania i odtrącenia mnie na margines społeczny. Praktycznie można powiedzieć, że nie mam już rodziny, a ktoś taki nie ma tu wielu możliwości. Lecz mimo to trenowałem i osiągnąłem tyle ile mogłem... służba w Błękitnych Płaszczach, to najwyższy stopień jaki mogę tu uzyskać i to tylko dlatego, że zakon nie wywodzi się z Avebium, ale chcę znacznie więcej. Przede wszystkim chcę... - zająknął się - takich rzeczy jakich tu nie mogę zdobyć.

Przez cały czas gdy mówił, Reyn zerkał na niego czasami ze znudzoną miną, dzieląc uwagę między niego, a pozostałości na talerzu. Gdyby Gen to dostrzegł, pewnie dałby się zniechęcić, ale zdawało się, że przez chwilę zapomniał o wszystkim innym prócz tego co mu leżało na sercu.

- Chcę zobaczyć świat - kontynuował - podróżować i... by inni mnie podziwiali. Chcę, by mnie poważali i być kimś, a tu nigdy tym kimś nie będę. Ale mimo to wiedziałem, że jeśli kiedyś los da mi szansę, to będę musiał być gotowy, dlatego trenowałem. Może i nie jestem zabójcą, nie mam zdolności złodziejskich, ani nie jestem szpiegiem, ale sam mówiłeś, że tamci zabójcy

mogą wrócić, a ja potrafię walczyć... i trudno mnie zabić, przydam ci się. I... wierzę, że mam potencjał, że jestem wyjątkowy wśród elytów, ale mogę to im i sobie udowodnić, tylko jeśli stąd odejdę, a gdy wczoraj trafiłem na ciebie... wiedziałem, że to znak o jaki prosiłem Avienela. Nie dość, że dał mi możliwość, by zmienić coś w moim życiu, to jeszcze spotkałem ciebie, tego który mnie nawet nie znał, a mimo to dawał mi siłę bym się nie poddał. Dlatego... proszę cię byś rozważył moją propozycję. Nie znajdziesz bardziej oddanego kompana niż ja.

Gdyby wszystko co miał do powiedzenia było tylko mającą wzbudzić litość historyjką jego kiepskiego życia, Reyn od razu powiedziałaby mu krótkie „nie” i przegonił od stołu. Nie był kimś kogo dało się przekonać czymś takim, ale pod koniec coś się zmieniło. Słowa które wypowiedział przypomniały mu coś o czym sam wczoraj myślał. Coś czego nie mógł zignorować.

Jego wrogowie wciąż czaili się gdzieś w mroku, a on był sam. Wiedział, że musiał coś zrobić, podjąć jakieś dodatkowe środki ostrożności, a jakby nie patrzeć ktoś kto może przyjąć na siebie kilka ciosów i na drugi dzień być jak nowy, choćby zrobili w nim tuzin dziur mógł być przydatny, choćby tylko do tego by kupić mu nieco czasu. Zlecenia nadal mógłby wykonywać solo, ważne by elyta był obecny w takiej sytuacji jak wczoraj, a w mieczu był przecież całkiem niezły z tego co udało mu się zaobserwować. Co prawda czasem zachowywał się jak dzieciak, ale była to wina młodego wieku i powinno się dać coś z tym zrobić.

Mimo to, nie spieszył się z podjęciem decyzji. Jeszcze przez dobrą chwilę, z zamyśloną miną analizował wszystkie za i przeciw, rozważając sposoby na wykorzystanie elyty, przy okazji wystawiając jego cierpliwość na wielką próbę. Jego błagalne spojrzenie nie opuszczało zirina nawet przez chwilę, aż w końcu uznał przedłużającą się ciszę za zły znak, więc postanowił coś jeszcze dodać, mając nadzieję, że to ostatecznie go przekona.

- I wiesz... możesz mnie przyjąć tylko na okres próbny... jeśli uznasz, że się nie sprawdzam, to w każdej chwili możesz mnie odesłać. Nie chcę... być ci ciężarem. Chcę być przydatny.

Reyn jeszcze przez chwilę pobębnił palcami po stole rozważając jego słowa, aż w końcu podjął decyzję na której w końcu pragmatyzm przeważał nad uporem i starymi przyzwyczajeniami. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Gdyby nie jego pomoc, wczoraj prawdopodobnie by zginął. Gdyby potraktował tę walkę od razu na poważnie to może poszłoby mu lepiej, ale ich może być przecież jeszcze więcej. Całe życie był samotnikiem, ale teraz może potrzebować sojuszników. Chłopak będzie przydatny w walce, nie wspominając, że jest w niego wpatrzony jak w obrazek, co też zamierzał wykorzystać.

Dlatego łowca spojrzał na niego i w końcu kiwnął głową.

- Zgoda, możesz do mnie dołączyć, ale... - nim było mu dane dokończyć, Gen poderwał się od stołu z okrzykiem radości na ustach i pobiegł prosto do szynkwasu, śledzony przez zdziwiony wzrok Reyna.

- Bertch! Butelkę najlepszego nektaru żywicznego jaki masz! – zawołał do karczmarza z ekscytacją i radością wypisaną na twarzy. – Muszę coś oblać!

- Łoo! A co to takiego? Warte to na pewno tak drogiego alkoholu?

- Warte, warte! Ale nie mogę powiedzieć, dawaj tę butelkę!

- Dobra, dobra! – sparodiował go - Już podaję.

Gdy Gen wracał do stołu z butelką i dwiema szklanicami, Reyn zastanawiał się, czy na pewno dobrze zrobił. Stwierdził jednak w końcu, że jest to coś co można łatwo zmienić, więc nie ma się co przejmować.

Elyta usiadł naprzeciw Reyna, odkorkował butelkę, nalał do pełna w oba naczynia, po czym podstawił mu jedno z nich pod nos z zadowoleniem wypisanym na twarzy.

- Wypijmy za... - zaczął młodzieniec.

- Nie dałeś mi dokończyć – uciął Reyn – powiedziałem, że możesz dołączyć, ALE... - podkreślił - to słowo chyba ci uciekło co?

- Eeeee... no trochę chyba tak – jego uśmiech nieco zaniknął - ale to bez znaczenia. I tak się zgodzę co byś nie powiedział, ale mów. Zamieniam się w słuch.

Reyn sięgnął po szklankę i spróbował łyk trunku, który faktycznie, co musiał przyznać, mógł zasługiwać na tytuł najlepszego w lokalu.

- Przede wszystkim - zaczął Reyn - masz robić co ci każę. To ja tu jestem profesjonalistą i utrzymam nas przy życiu. Zlecenia będę wykonywał sam, chyba, że stwierdzę inaczej, a ty będziesz czekał w pogotowiu tam gdzie ci powiem. Zrozumiano?

- Oczywiście! - odparł z zapalem. - Coś jeszcze?

Reyn zmrużył oczy.

- Tak. Kiedy będziesz ze mną widziany publicznie i w ogóle jak już się rozejdzie, że współpracujemy, to nie zachowuj się jak dzieciak. Nie zamierzam znosić plotek, że zadaję się

z jakimś bachorem. Masz zachowywać się jak dorosły, więc żadnego skakania i okrzyków z byle powodu, jasne?

Gen nie przejął się jego słowami ani o jotę, a jedynie gorliwie pokiwał głową.

- Przepraszam, poniosło mnie, tak długo czekałem aż coś się zmieni, że gdy się zgodziłeś, to prawie odleciałem - uśmiechnął się, zazieleniony po uszy.

- Zauważyłem.

Gen gulnął sobie obficie ze szklanicy, po czym spojrzał na zirina.

- No to... może wypijemy za początek naszej współpracy?

- Już pijemy – Reyn pociągnął kolejny łyk, nie czekając na jego reakcję – ale jest coś jeszcze. Planowałem jak najszybciej wyjechać, najlepiej dzisiaj, ale w nocy będę musiał coś jeszcze załatwić i nie możesz wziąć w tym udziału. Powiem ci tylko gdzie masz na mnie czekać. Gdy skończę lub gdyby coś się działo, przyjdę po ciebie, wrócimy do gospody i następnego ranka ruszymy. Rozumiesz?

- Rozumiem, rozumiem – zapewnił - nie musisz mnie ciągle o to pytać. Nie jestem głupi, tylko podekscytowany... - nagle zmartwienie, które pojawiło się na jego twarzy było aż nadto widoczne gdy zamilkł i spojrzał w bok, za okno przybytku – ale chyba to nie jest twój sposób, by się mnie pozbyć, co? Postoję sobie gdzieś tam, a ty nigdy nie przyjdiesz i tyle z naszej współpracy?

Reyn uśmiechnął się lekko i pokiwał głową.

- Skoro masz podejrzenia, to może jednak jest dla ciebie nadzieja. Lekcja numer jeden – nie ufaj innym. Podejrliwość wydłuża życie, ale tym razem nie musisz się martwić. Nie mam powodu by kombinować. Gdybym chciał cię splawić, to zrobiłbym to od razu. Potraktuj to jako swoje pierwsze zadanie.

- Zgoda. To gdzie mam czekać?

- Na placu przy kopule miasta. Gdyby goniła mnie armia zabójców to tam się udam i udzielisz mi wsparcia. Pozostali strażnicy też się pewnie włączą, nie?

Młodzieniec pokiwał głową.

- Oczywiście, każdy ma takie same obowiązki jak ja wczoraj – odparł Gen. - Będę tam czekał.

Nagle wyraz koncentracji pojawił się na twarzy elyty, gdy coś go tknęło. Przypomnił sobie, że miał mu powiedzieć coś ważnego, tylko co to było... Wyteżył mocno pamięć, aż w końcu go oświeciło.

- A, powinieneś o czymś wiedzieć.

- No?

- Wczoraj, gdy spałeś, poszedłem na posterunek zgłosić to co się stało. W końcu sześć trupów to nie byle co. Powiedziałem o tym kapitanowi. Wspomniałem też, że jeden z nich był człowiekiem co od razu wyśmiał, ale przecież dowód leży na ulicy, więc poprowadziłem ich na miejsce i jakie było moje zdziwienie gdy... wszystkie ciała zniknęły. Nie było żadnego, ani nawet odciętej głowy, czy grotu strzały, nic. Zupełnie jakby ktoś wszystko posprzątał po całym zajściu.

Na tę informację, Reyn poczuł ścisk w żołądku.

- To pewnie tamten co przeżył albo jego wspólnicy. Nadal mogą być w mieście.

Gen kiwnął głową.

- Też tak sądzę. Jedyne co znaleźliśmy to krew. Inaczej wylaliby mnie za ściąganie wszystkich po nocy bez powodu, ale to zostało. Tam gdzie walczyliśmy, niedaleko przy warsztacie i w jeszcze jednym miejscu, ale tam też nie było ciał. Starłeś się z nimi na drodze prowadzącej z łaźni?

Reyn pokiwał głową i zamyślił się.

- Tak. Tam i na dachu jednego z budynków.

- Problem w tym – kontynuował elyta – że dzielnica rzemieślników to najmniej zazieleniony obszar Avebium, a z powodu tego całego dymu i huku młotów rośliny są nieco przytępione, przez co nie mogliśmy użyć ich wizji, by zobaczyć co się stało. Czy walczyłeś z nimi w jakimś miejscu, gdzie byłyby lepsze warunki? Może w parku?

Reyn szybko przeszukał pamięć

- Tak, byłem w jednym. Tam też mnie te kurwy znalazły. Dwóch mnie ścigało, ale potem zabiłem ich w zaułku.

Na śmierć zapomniął, że elyci potrafią odtworzyć wspomnienia roślin, zupełnie jakby patrzyli ich oczami. Nie jest to może tak wyraźne jak prawdziwy wzrok, ale bywa bardzo przydatne.

- Jeśli spojrzycie oczami tamtych drzew, powinniście ich zobaczyć, ale to i tak nam nie powie co się stało z ciałami, bo nikogo tam nie zabiłem.

- Szkoda... ale i tak powiem kapitanowi. Przynajmniej zobaczy, że nie kłamię.

- Tylko skoro są w mieście, to dlaczego wciąż żyję? – zapytał Reyn, praktycznie nie usłyszawszy elyty. - Mogli mnie zabić w nocy, gdy spałem.

- Może nas zgubili? Może nie spodziewali się, że tamta grupa zawiedzie i tylko zabrali ciała, ale ciebie stracili z oczu?

- Nie – zaprzeczył od razu, dobrze pamiętając jak go tropili niczym psy na polowaniu i doskonale wiedzieli gdzie jest, nawet gdy ukrył się w gęstej koronie drzewa. – Na pewno nie.

Chyba, że cokolwiek co wtedy robili, ma ograniczony zasięg? – wpadło mu do głowy. – To mógł być powód.

- Chociaż może i masz rację – przyznał tylko, nie chcąc się z nim dzielić swoimi przemyśleniami. – Słuchaj, możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

- Jasne, czego potrzebujesz?

- Poślij po kogoś z gildii posłańców, by przyprowadził tu mojego konia ze stajni przy północnej bramie. Numer czterdzieści dwa, dam ci kwit.

- Jasne, załatwię to – kiwnął głową. - Mam tam znajomego, więc jemu to powierzę. Na kiedy chcesz go mieć?

- Na teraz. Im szybciej tym lepiej.

- Mhm... tylko po co ci koń, skoro wyjeżdżamy dopiero wieczorem?

Reyn przewrócił oczami.

- Mam tam coś co mi pomoże gdyby doszło do kolejnej walki. Nasze plany się nie zmieniły, poza tym, że nie mam czasu na spokojne dochodzenie do zdrowia, gdy te sukinsyny łążą gdzieś po mieście i mogą mnie znów zaatakować. Gdy wezmę z juków co potrzebuję, odprowadzisz konia do stajni. Zgoda?

Gen pokiwał gorliwie głową.

- Zostaw to mnie! Tylko się ubiorę i pójdę to załatwić – wstał od stołu. – To do wieczora.

- Do wieczora – odpowiedział.

Gdy chwilę później przebrany elyta opuścił gospodę, Reyn pokiwał głową z zadowoleniem, widząc jego zaangażowanie. Nie kazał mu tego zrobić o konkretnej porze, a mimo to postanowił od razu spełnić jego prośbę.

Może będzie przydatny pod więcej niż jednym względem.

*

Był już późny wieczór, gdy Detmond Galbaran skierował się w końcu do sypialni. Był to dzień pełen wrażeń, a zmęczenie dawało mu się już we znaki i wręcz marzył, by położyć się do łóżka. Szedł przez korytarz swej posiadłości, rozświetlając sobie drogę gustowną lampą, gdy dotarł w końcu do drzwi. Pociągnął za klamkę, wszedł do środka i odstawił lampkę na stół. Powoli rozpiął pierwszy guzik swojej aksamitnej koszuli, drugi i następny, aż w końcu poczuł na swej skórze chłodne, wieczorne powietrze. Nieco zbyt chłodne jak na jego gust – pomyślał, gdy wietrzyk owiał mu plecy. Kiedy otworzył okno? Nie pamiętał. Wolał gdy było dobrze ciepło, gdy kładł się spać. Odwrócił się więc, by zamknąć okiennice, gdy w świetle księżycy i nikłym blasku lampki dostrzegł kogoś siedzącego na jego fotelu.

Wybałuszyl oczy i już miał krzyknąć po pomoc, gdy postać nagle zniknęła, a w następnej chwili poczuł na szyi chłód stalowej klingi.

- Ciii... - syknął mu ktoś do ucha, dziwnie znajomym głosem - nawet nie próbuj. Wiem jak zabić elytę, ale na początek mam do ciebie kilka pytań, na które musisz odpowiedzieć. Jeśli odpowiedzi mnie zadowolą, to przeżyjesz i nic ci się nie stanie. Rozumiesz?

Galbaran kiwnął jedynie głową, dając intruzowi znak, że nie będzie sprawiał kłopotów. Ten w odpowiedzi popchnął go w kierunku fotela, na którym przed chwilą siedział.

- Siadaj.

Elyta wykonał polecenie.

- Kim jesteś? – zapytał Galbaran, czując chłód na plecach, mający niewiele wspólnego z nocnym wietrzykiem.

Mężczyzna przed nim zdawał się całkowicie czarny, jakby stapiał się z cieniami. Prychnął pod nosem na to pytanie.

- Jeszcze mnie nie rozpoznałeś? - Zapytał drwiąco. – Myślałem, że jesteś bystrzejszy.

Odwrócił się do lampy, którą Galbaran przed chwilą postawił na szafce i przystawił ją bliżej, tak by światło rozjaśniło mu twarz, z której właśnie ściągnął ciemną chustę. Na ten widok elyta znów wybałuszył oczy.

- Ppan Reyn? - jego głos zadrżał. - Ale o co chodzi? Przecież...

- Przecież wysłałem na ciebie zabójców i miałeś zginąć, tak? – Dokończył za niego Reyn, mrużąc oczy.

Galbaran wyglądał na zaskoczonego.

- Co? Ja nie wiem o czym pan mówi, zapłaciłem panu i wszystko załatwione, nie wiem o co...

- Wczoraj, niedługo po wyjściu od ciebie napadło mnie sześciu doskonale wyszkolonych zabójców – oznajmił Reyn. - Cud sprawił, że uszedłem z życiem, a teraz mam bardzo wiele pytań, wiesz? – syknął, przysuwając mu do brody ostrze, które błysnęło w świetle lampy. – Na przykład, skąd wiedzieli gdzie będę? Jak wielki to musiał być przypadek, że pojawili się akurat wtedy, gdy oddałem zlecenie i zanim opuściłem miasto? Jak mogli to zrobić, jak sądzisz? – Pytał, wierząc go wzrokiem.

– Bo moim zdaniem - kontynuował zirin, nie usłyszawszy odpowiedzi - ktoś mógł szepnąć słówko w odpowiednie uszy, o tym gdzie Reyn wykonuje zlecenie, więc było pewne, że prędzej czy później wróci po resztę zapłaty, co stworzy idealną okazję do zamachu - bez tropienia, bez szukania, idealnie. Albo może moje honorarium było zbyt duże jak na twoją skąpą dupę, co? I postanowiłeś je odzyskać?

Elyta zbladł jak ściana, a biel jego skóry mogła przebić nawet tę, którą błyszcząły jego jasne pomniki w ogrodzie.

- Ppanie, Reyn, proszę mnie posłuchać...

- Nie, to ty mnie posłuchaj, Galbaran -przerwał mu Reyn - i dobrze się zastanów nad odpowiedziami. Rozmawiamy w tak przyjaznej atmosferze tylko dlatego, że twój przyjaciel Dietreg faktycznie zgłupiał. Gdybyście obaj śmiali się po pachy i normalnie gadali, gdy dziś was podejrziałem, to teraz siedzielibyście związani na krzesłach, a noże wbijałyby się w wasze ciała dzięki odważnikom, a bełty z kusz lada chwila by wystrzeliły, gdy świece przepaliłyby linki. Żaden strażnik by się nie zjawił, by wam pomóc, bo to w końcu nie moja ręka, by przelała waszą krew, prawda? A z tego co wiem, ból czujecie jak wszyscy. Podoba ci się taka perspektywa?

Elyta pokręcił głową.

- No to gadaj, bo jeszcze mogę zmienić zdanie.

- Ppanie Reyn – wydukał Galbaran - rozumiem pana wściekłość i podejrzenia, bo... sam bym pewnie siebie podejrzewał, ale nie wiem czy potrafię udzielić odpowiedzi, które by pana zadowalały, bo ja... po prostu nic nie wiem. Przysięgam! Wie pan, że Dietreg stracił rozum. Dlatego pana opłaciłem, by mu pan pomógł odzyskać dawnego siebie. Potem zapłaciłem panu jak się umawialiśmy i ... to wszystko. Przepraszam, ale nic więcej nie wiem. Może ten ktoś śledził pana, gdy przybył pan do Avebium wziąć zlecenie i dlatego wiedział, że tu pan wróci, a potem cały czas czekał... a potem zaatakował. Przysięgam! Nie odważyłbym się znieważać zirina pana pokroju, nawet pod opieką strażników, wiem przecież jakie ma pan zdolności i jako jedna z niewielu ras w krainach mógłby pan im uciec po zabiciu mnie.

Reyn milczał patrząc na niego uważnie, a jego milczenie było ewidentnym znakiem, że nie został przekonany.

- Proszę mi uwierzyć, ja naprawdę nic nie wiem! – pieklił się Galbaran. - Proszę zapytać o mnie na mieście. Nigdy nie miałem kontaktów z pół świadkiem i brzydzę się wszelkimi nielegalnymi interesami, a co dopiero wynająć zabójców na kogoś kto tak pomaga prawu, jak pan. Poza tym... - zwiesił głowę we wstydzie - jestem tchórzem i nie zaryzykowałbym, że mógłby pan uciec i do mnie wrócić i... to też panu powiedzą na mieście. Dlatego mieszkam sam i nie mam partnerki. Nie wiem co jeszcze mógłbym powiedzieć...

Reyn wciąż wiercił go wzrokiem, oceniając to co usłyszał. Ręce elyty trzęsły się ze zdenerwowania, a całe ciało dygotało jakby solidnie przemarzło. W pokoju było bardzo ciepło, więc jak nic, powodem tych odruchów był strach. Zasadzając się na niego w sypialni, spodziewał się przynajmniej lekkiego oporu. W końcu wystarczyłaby choć kropla jego krwi przelanej w szamotaninie, by prędko zjawili się strażnicy. Mógł im uciec, ale mógł nie zdążyć go zabić nim by się pojawili. Było to więc ryzykowne dla nich obu, a on usłuchał go bez słowa sprzeciwu, a teraz tłumaczył się jakby od tego zależało jego życie. Tak było w istocie, a Reyn nie raz widział gdy strach przejmował nad kimś kontrolę. Bazując na swoim doświadczeniu, obserwacji i rozbieganym wzrok Galbarana, stwierdził, że naprawdę może mówić prawdę.

A to nie była dla niego dobra wiadomość, bo oznaczała, że jedyne co miał to symbol, a ślad jak zaczął się w Avebium, tak też się kończył.

Elyta wciąż unikał jego wzroku, jakby nie chciał go sprowokować, gdy ważył jego słowa. Zwiesił głowę czekając na wyrok, ale w końcu usłyszał upragnione słowa.

- Wierzę ci – powiedział Reyn, zabierając ostrze z jego gardła, na co Galbaran odetchnął z ulgą, ale naprawdę rozluźnił się dopiero wtedy, gdy łowca podszedł do okna i bez słowa zniknął w kłębie dymu.

*

Po opuszczeniu rezydencji Galbarana, Reyn udał się na umówione miejsce spotkania z Genem. Mimo wczorajszych ran, mógł się tak sprawnie poruszać dzięki specyfikom przygotowanym przez esseńskich alchemików, które swego nabył na czarnym rynku w Baszkarze. Środek na krzepnięcie krwi, przyspieszający gojenie ran? Nie ma sprawy. Przeciwbólowy? Nic prostszego. Tymczasowo zwiększający wydolność całego organizmu? To też dało się załatwić. Dzięki zapasom z juków niemal nie odczuwał skutków wczorajszej walki, a ich twórcy potrafili znacznie więcej. Esseńczycy dysponowali jednymi z najcieńszych umysłów w krainach, ale Reyn nie był pewien, czy ich wszystkie wynalazki wzięły się tylko dzięki inteligencji, czy ze zwyczajnego strachu o ich własne tyłki i kompleksy spowodowane swymi niewielkimi, w porównaniu do innych ras rozmiarami. Koniec końców, udało się im osiągnąć zamierzony cel i powszechnie przyjęło się za nierozsądne wykorzystywanie swej fizycznej przewagi przeciwko nim. Nigdy nie wiadomo jaki gadżet wyciągnął z rękawa, a ich produkty były na tyle przydatne, że generalnie bardziej opłacało się zostawić ich w spokoju. Reyn też był tego zdania, choć raz miał wątpliwości, gdy o mało co nie zginął z powodu innowacyjnego projektu działa ciśnieniowego RTR, które swego czasu skradziono im sprzed nosa i użyto przeciwko niemu.

Gdy był już blisko umówionego miejsca spotkania, kusilo go przez moment, by jednak wystawić Gena i samemu ruszyć w dalszą podróż, ale koniec końców rozsądek zwyciężył. Naprawdę może potrzebować sojusznika, a znał nie jedną historię, gdy ktoś uparcie odmawiał pomocy nawet gdy jej bardzo potrzebował, bo przecież całe życie działał sam, a potem kończył marnie. Z Reyna nie był żaden filozof, ale rozumiał jedną ważną rzecz dotyczącą życia. Ono ciągle się zmieniało i były takie momenty, gdy trzeba było się przystosować lub w innym wypadku zmieniony, rwący prąd porwie jego ciało w dół rzeki, a świat o nim zapomni. Za bardzo kochał życie, by sobie na to pozwolić, a lekki ból, który wciąż odczuwał w plecach dodatkowo przypominał mu że nie jest nieśmiertelny i że właśnie nadszedł czas na zmiany.

Tak więc zjawił się na miejscu spotkania, gdzie już czekał na niego Gen, odziany w płaszcz podróżny z kapturem i ze sporym plecakiem na grzbiecie. Na jego widok elyta uśmiechnął się.

- Jesteś – rzekł z wyraźną ulgą w głosie. – I jak poszło to co miałaś załatwić?

- Ani dobrze ani źle - skwitował Reyn. -Nie dowiedziałem się niczego nowego o zabójcach i tutaj raczej już się nie dowiem, więc pojedziemy tam gdzie będę mieć na to szanse.

Na dźwięk tych słów, ekscytacja od razu pojawiła się na twarzy Gena.

- Czyli gdzie? Gdzie pojedziemy? – Dopytywał, niczym młodzik cieszący się na wycieczkę.

- Do Evetis.

- Evetis? Czy to... to słynne miasto informacji? Znane z najsławniejszych najemników i specjalistów do wynajęcia?

- Ta – odparł sucho, nie czując ekscytacji elity. To było naprawdę wyjątkowe miasto, w którym mieszkał od dawna, więc przestał się nim już podniecać, choć nadal je cenił.

Lecz Gen wydawał się ekscytować za ich dwóch jednocześnie

- I czy to prawda, że tam wybierają władze na zasadzie, kto więcej zrobi dla miasta? Bez żadnych więzów krwi, kasty rządzącej i tak dalej?

- Tak – spojrzał na niego. – Wydajesz się sporo wiedzieć o Evetis, mimo że nigdy nie podróżowałaś.

- No bo... - Gen podrapał się po głowie - wypytywałem kilku kupców jak tu przyjeżdżali. Specjalnie się za mniejsze stawki zatrudniałem, by to mnie wybrali jako ochroniarza, a kupcy jak to kupcy, lubią gadać. Wiem, że mogli mi naopowiadać trochę banialuków, dlatego pytam. – uśmiechnął się szeroko i spojrzał w nocne niebo, jakby chciał tam zobaczyć miasto o którym myślał. - Nie mogę się doczekać aż sam to wszystko sprawdzę!

To może idź, sprawdź i przestać mnie pytać co? – pomyślał Reyn, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tego na głos.

- Niedługo się przekonasz, a teraz zbierajmy się – powiedział do niego. - Nie ma co dłużej zwlekać. Akurat mamy spokojną noc przez dwa dni, to nic nam nie przeszkodzi. Chodźmy po twojego konia, a potem do północnej bramy.

- Konia? – Gen wydał się nagle zbity z tropu, jakby ktoś mu opowiedział jakąś niestworzoną historię. Reyn nie miał pojęcia co go tak dziwi.

- No, konia. Chyba masz jakiegoś, co?

Cisza. Reyn zmrużył oczy, patrząc na niego.

- Chciałeś ze mną podróżować bez konia? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Może jeszcze na jednej kulbace, obejmując mnie w pasie? Poważnie?

- Nie, nie, nie... - wydawał się zakłopotany - po prostu zapomniałem o tym. Nie mam, bo nigdy nie opuszczałem Avebium, a potem tyle się wydarzyło, że nawet nie pomyślałem. Przepraszam.

Reyn machnął ręką.

- Dobra, to i tak nie zmienia naszych planów. Kupisz jednego w stajni i tyle. W drogę.

Jednak, gdy postąpił krok do przodu, Gen chrząknął.

- Co znowu? – odwrócił się Reyn, taksując go wzrokiem. Gen znów ścisnął dłoń.

- Problem w tym, że... nie mam pieniędzy na konia.

Reyn przyłożył dłoń do czoła.

- Poważnie? Błękitny Płaszcz nie ma na konia? Nie pieprz. Strażnicy dobrze zarabiają. Mógłbyś mieć i dwa na zmianę.

- No niby tak, ale... – odwrócił wzrok, zawstydzony - zainwestowałem niedawno w gospodę Bertcha. Miał pewne problemy z dłużnikami, więc mu pomogłem, bo to jedyne miejsce, gdzie na mnie dobrze patrzyli... więc nie chciałem żeby się zlikwidowała, a poza tym to jedyna rodzina, która mnie nie wyklęła. Dalsza, bo dalsza, ale jednak, więc chciałem mu pomóc. Jeszcze nie nadszedł termin mojego pierwszego udziału w zyskach, więc prawie nic nie mam.

To o tym mówiła Elysa – przypomniał sobie Reyn jak wyjaśniła, że wyświadczył gospodarzowi jakąś przysługę i dlatego teraz ma wszystko za darmo. Westchnął w duchu, analizując dostępne opcje.

- Dobra – zdecydował – kupię ci tego konia, ale oddasz mi z pierwszego udziału jaki dostaniesz, jasne?

- Jasne! Dzięki - wyszczerzył się.

- Tylko postaraj się żebym nie żałował tej inwestycji. Nie lubię marnować pieniędzy.

- Dam z siebie wszystko! – oświadczył Gen z rzadko u niego spotykaną pewnością siebie. – Na pewno nie zawiodę.

Mam nadzieję – pomyślał.

- To chodźmy już – oświadczył Reyn, odwracając się, ale zaraz znów na niego spojrział. – A nie, czekaj, przypomniałem sobie bardzo ważną rzecz. – powiedział, patrząc na niego śmiertelnie poważnie. – Masz buty i skarpetki na zmianę? Czy też mam ci kupić?

- Eee... mam, chyba mam. Zaraz, upewnię się...

Ale gdy zdjął już plecak, by zacząć w nim grzebać, Reyn powstrzymał go.

- Przestań, na Bogów! Żartowałem. To się nazywa sarkazm, jeśli tu o nim nie słyszeliście. Chodź, jeśli mnie zgubisz to nie będzie moja wina.

I ruszył przed siebie żwawym krokiem, nie odwracając się. Gen pospieszył za nim żwawym krokiem.

Niedługo później zamajaczył im przed oczami budynek stajni przy północnej bramie. Właściciel wydawał się bardzo zdziwiony widokiem klientów o tak późnej porze, ale nie odmówił cichej śmierci i zabrał ich obu do stajni. To właśnie w takich miejscach, tuż przy bramach, koni było najwięcej. Zarówno tych do kupienia jak i pozostawionych pod opieką. Elyci nie chcieli by ich smród im przeszkadzał, więc poruszanie się konno czy prowadzenie ich po mieście było w większości przypadków zakazane, poza wyjątkowymi sytuacjami. Gdyby któryś ze strażników zauważył Gena, który prowadził wcześniej przez miasto wierzchowca Reya, ten musiałby przedstawić wyraźny powód czemu sobie na to pozwolił lub musiałby zapłacić grzywnę.

Gen zaś, gdy tylko przekroczył próg budynku, od razu zrozumiał skąd wzięły się te przepisy. W tym jednym skrzydle koni były całe dziesiątki, a smród prawie zwałił go z nóg. Zasłonił usta i nos dłonią, gdy szedł za Reynem i właścicielem po ziemi pokrytej błotem i słomą. Nie mógł nie zauważyć tych stert łąjnia gromadzących się w przegrodach. O mało co nie wypaliło mu nosa.

- Wezmę najtańszego jakiego masz na stanie – powiedział Reyn, nie mając zamiaru wydać na elytę ani jednej monety więcej niż było to konieczne. – Byle wytrzymał kilkudniową trasę. Nie mam innych wymagań.

- Najtańszego... - zastanowił się właściciel. Wysoki, szczupły mężczyzna w brązowym kubraku i kamizelce. – To byłby Svain. Jego imię we wspólnym oznacza „nieokrzesany”. Jest trochę brzydki, ale wytrzymały, no i ma denerwujące nawyki podgryzania co tylko mu się

znajdzie koło pyska, łącznie z właścicielem. Jest też nieco porywisty i ma swoje humory, dlatego do tej pory go nie sprzedałem, ale jest tani i sędzę, że umiarkowane umiejętności wystarczą, by go okiełznać. Pięć srebrników i będzie twój, panie.

Pięć? To faktycznie mało.

- Gen? – Reyn spojrzał na niego. – Jak dobrze jeździsz?

Elyta zdawał się nie usłyszeć pytania. Rozglądał się przerażony po tych wszystkich boksach wypełnionych śmierdzącą zawartością i równie śmierdzącymi zwierzętami, z miną jakby najgorszym koszmarem było skończenie w jednym z takich miejsc. W końcu otrząsnął się, spojrzał na Reyna i powiedział.

- W sumie to nie wiem. Nigdy nie miałem okazji jeździć na tych stworach. To trudne?

Reyn nie wierzył w to co usłyszał. Sądził, że nic go już tej nocy nie zaskoczy.

Mylił się. I odetchnął głęboko.

- Żartujesz, prawda?

Elyta pokręcił głową. Reyn zaklął.

W co ja się kurwa wpakowałem? - pomyślał, po czym spojrzał na właściciela.

- Najłagodniejszy jakiego masz, dla początkującego, który go nie zeżre po drodze. I tani, tak tani jak się da.

Starszy elyta kiwnął głową i poprowadził go dalej.

- I niech twój stajenny pokaże mu podstawy, mi brakuje cierpliwości. Dopłacę... rozsądną kwotę.

- Oczywiście, panie. Wszystko się załatwi.

Pięknie kurwa. Pięknie - myślał Reyn, idąc za właścicielem.

Rozdział 4

Gdy Radavant przekroczył bramy miasta, wszystko zaczęło się od początku. Każdy przechodzień omijał go szerokim łukiem lub patrzył z ciekawością, ale z bezpiecznej odległości. Nawet gdyby chciał staranować dowolną grupę mieszkańców, to wszyscy rozpierzchliby się

chwilę wcześniej, by przypadkiem nie musieć zamienić z nim słowa. Bali się jego potężnej sylwetki zakutej w piękny, ale jednocześnie przerażający pancerz, a tajemne znaki na nim napępiały ich niepokojem. Reputacja jego ziomków wcale nie poprawiała jego sytuacji. Wielu z nich było uważanych za maszyny do zabijania, o sercach tak zimnych niczym stal pancerzy, które nosili. Każdy szept na jego temat i każde spojrzenie mu o tym przypominało. O tym, że nigdy nie będzie normalnie.

Ale wciąż bardzo chciał, by tak było.

Dlatego skierował do gospody, o mało co nie wyłamując przy tym drzwi wejściowych gdyż czasami nie panował nad własną siłą. Tutaj też wszystko było jak zwykle. Gdy usiadł przy stole, ława zatrzeszczała pod jego ciężarem. Bywalcy przybytku zerkali na niego ukradkiem i jak zwykle nikt nawet nie podszedł, by zapytać go czy chce coś zamówić. Zawołał więc dziewczkę służebną, która podeszła i dygnęła nerwowo, tak drobna przy nim, sprawiająca wrażenie, że ledwie powiew wiatru mógłby ją złamać i zapewne tak właśnie się czuła. Zamówił więc jak zwykle, piwo i specjalność lokalu, a każdy spojrzał na niego zdumiony, ale gdy odpowiadał na ich wzrok, odwracali go. Wsłuchiwał się w gwar gospody, jakby mniej radosny z powodu jego obecności, ale jednak nadal obecny. Słuchał jak rozmawiają madranie, ayanie, czy jaszczuro podobni dreyoni. Czuł zapach pieczeni i słyszał lejące się trunki. Było prawie normalnie i przez chwilę poczuł się jak zwyczajny gość gospody.

Niedługo później, służka przyniosła mu jego zamówienie. Postawiła na stole głęboki kufel trunku, oraz wytworną pieczeń polaną pysznym, pomarańczowym sosem, wraz z surówką i ziemniakami. Potem odeszła z dziwną miną, zerkając na niego przez ramię. Radavant patrzył na swój posiłek i mimo, że jak zwykle niczego nie zjadł, to lubił to wszystko robić. Czuł się wtedy tak normalnie... lecz niestety było jak zwykle, a rzeczywistość w końcu mu o sobie przypominała. Zawsze oddawał swój posiłek, polecając, by przekazano go biedakom, a potem wychodził nie zamoczywszy nawet ust w trunku.

Gdy opuścił gospodę, widział jak wiatr rozwiewa włosy mieszkańców i potrząsa ich ubraniami, lecz i te doznania nie były już przeznaczone dla niego. Przez zbroję, którą nosił nie czuł już wiatru. Przez nią nie czuł już niczego, ale wciąż miał coś do zrobienia. Ruszył więc do katedry, by zebrać informacje przed czekającym go zadaniem.

Nie minęło wiele czasu nim po raz pierwszy dostrzegł jej strzeliste wieże, wybijające się na tle budynków miasta. Nie dało się ich nie zauważyć. Katedra Parathusa była drugim, największym budynkiem w mieście, zaraz po siedzibie burmistrza. Tak jak każdą madrańską świątynię,

również tę wybudowano według tradycyjnego schematu. By dostać się do środka, w pierwszej kolejności należało przejść przez przedsionek, w którym to dopiero znajdowały się właściwe wrota. Madranie wierzyli, że obecne w nim święte znaki nie pozwolą przekroczyć progu świątyni żadnemu niewiernemu. W tej chwili, przed zewnętrznym wejściem nie było ani żywej duszy, co oznaczało, że świątynni strażnicy musieli się znajdować w środku, tak jak mieli w zwyczaju czynić podczas każdego trwającego nabożeństwa.

Gdy Radavant przekroczył masywne drzwi wejściowe i znalazł się w przedsionku, czekający tam madranie wybałuszyli na niego oczy i od razu sięgnęli do rękojeści swych broni, lecz nie byli skorzy, by zrobić z niej użytek. I nie było się czemu dziwić. Przed nimi stał wielki wojownik, zakuty w zbroję od stóp do głów, szeroki w barach i wysoki na prawie dwa metry. Przy jego pasie wysiał długi miecz okazałych rozmiarów o zdobionej głowni, lecz tym co wywołało w nich taką reakcję i zarazem powstrzymało ich ręce od gwałtownych ruchów była świadomość tego kim był. Od razu go rozpoznali i nikt o zdrowych zmysłach nie chciał go niepotrzebnie prowokować.

- Zwą mnie Radavant – odezwał się pierwszy, mocnym, dudniącym głosem. - Doszły mnie słuchy, że upiory nawiedziły pobliskie opactwo. Przybyłem, by rozwiązać ten problem.

Ciemnoskórzy strażnicy popatrzyli po sobie, a jeden z nich kiwnął głową.

- To prawda – powiedział gwardzista - ale jego świątobliwość... prowadzi aktualnie kazanie. To potrwa jeszcze przynajmniej pół godziny.

- Nic nie szkodzi - odparł Radavant. - Chętnie posłucham.

Strażnik chrząknął.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł, z całym szacunkiem...

- Chcecie mi odmówić wysłuchania kazania?- zapytał go Radavant. - Z tego co mi wiadomo, wiara madrańska jest otwarta na przedstawicieli każdej rasy, a gdyby okazało się, że tak nie jest, to jej wpływ na corocznym kapłańskim wiecu znacznie by zmaleł. Sądzę, że plotki na ten temat krążące po mieście nie ucieszyłyby jego świątobliwości.

Strażnik zbladł nieco, ale szybko chrząknął i odzyskał rezon.

- Ja po prostu... nie sądziłem, że taka tematyka będzie cię interesować, panie. Powiedziałem to z troski... o pański czas, ale skoro się myliłem, to zapraszamy do środka.

Radavant kiwnął głową i pchnął wysokie drzwi, stojące między nim, a dalszą częścią budynku. Jego oczom ukazała się ogromna, podłużna sala zbudowana z ciemnego marmuru, pełna kolumn, witraży i ław, na których siedziały dziesiątki wiernych, uważnie słuchając najwyższego kapłana stojącego przed ołtarzem na końcu sali. Stary madranin opowiadał z przejęciem o braku równości rasowej, gdy dostrzegł Radavanta, który właśnie wkroczył do sali. Na jego widok aż się zająknął i zamilkł, a w ciszy która na chwilę nastąpiła, kroki nowego słuchacza były aż nadto słyszalne. Wielu wiernych odwróciło swe głowy na ten dziwny, metaliczny dźwięk kroków, a gdy go zobaczyli, wielu wybałuszyło oczy i pociągnęło za rękaw sąsiada, by też zobaczył kto się zjawił. Kapłan miał już wezwać gwardzistów, ale wtedy za plecami Radavanta pojawił się strażnik z przedsiönka, który dał mu znak gestem dłoni, że wszystko jest w porządku. Starzec odetchnął z ulgą i wrócił do tematu, ale wierni wciąż jeszcze zerkali w kierunku stalowego olbrzyma, który stanął przed rzędami ław, w bezruchu niczym posąg strzegący wejścia.

Po ledwie chwili Radavant zrozumiał już skąd wzięła się wcześniejsza reakcja strażnika. Głównym tematem kazania była wyższa rola w rozwoju świata pełniona przez rasy których wrodzone cechy błyszcząły w czasie pokoju. Wszelkiej maści budowniczy, rzemieślnicy, farmerzy, kupcy i inni, wszyscy oni według starego madranina zostali pobłogosławieni przez bogów, w odróżnieniu od zdradzieckich zirinów, wojowniczych tagran, wstrętnych dreyonów i kilku innych jeszcze ras, których moce mogły być wykorzystane tylko podczas wojny. Jedno Radavant musiał mu przyznać: starzec bardzo, ale to bardzo starał się nie dotknąć tematu jego stalowych braci, mimo nie jednego pytania, które padło z sali.

Ma przynajmniej minimum taktu - pomyślał - ale i tak wiadomo co naprawdę o nas myśli.

Gdy kazanie dobiegło do końca, wierni wstali z miejsc i skierowali się do wyjścia. Radavant stał z boku wielkich wrót niczym ozdobna zbroja, którą ktoś tu zamontował i nawet nie drgnął, gdy mijały go kolejne dziesiątki madranów, zerkających na niego z ciekawością. Większość pochylała głowy nie chcąc na niego patrzeć, ale znalazło się kilku odważniejszych. Jednakże każdego z nich przyćmił kilkuletni chłopiec, który odbiegł od mamy i przecisnął się przez tłum, zatrzymując się tuż przed Radavantem.

- Ale faaaajna zbroja! – zawołał z ekscytacją. – Nie widziałem jej wcześniej. Mamo, czy ona zawsze tu stała? – odwrócił się, pokazując na niego palcem.

Przestraszona kobieta zbladła i spróbowała się przepchnąć przez tłum, ale nim to zrobiła, chłopczyk znów odwrócił się do Radavanta i dotknął płyt jego pancerza z wyrazem głębokiego przejęcia na twarzy.

- Ale suuuper!

Matka w końcu przebiła się przez tłum, chwyciła syna za rękę i odciągnęła od „zbroi”. Teraz była już blada jak płótno.

- Bardzo pana przepraszam – wydukała tylko w stronę Radavanta, który w końcu odwrócił głowę i przeniósł na nich swe spojrzenie.

- To nic takiego, moja pani – odparł spokojnie. – Proszę się nie przejmować.

- Ta zbroja mówi! – krzyknął chłopiec. – Ale super!

- Bogowie – załkała matka – chodź już synku, to nie zbroja to...

Radavant jednak zrobił wtedy coś nieoczekiwanego. Uklęknął przy chłopcu i położył mu swoją wielką dłoń na głowie.

- Lubisz zbroje, chłopcze? – zadudnił z wewnątrz hełmu.

Kobieta zamarła w miejscu, tak jak wielu wiernych, którzy znajdowali się w pobliżu. W osłupieniu obserwowali całą scenę, a chłopiec wyglądał na najszcześliwszego na świecie.

- Bardzo! – odparł entuzjastycznie. - Chciałbym kiedyś zostać wielkim wojownikiem! A może nawet rycerzem! Ale mama mówi, że tak nie wolno, pan kapłan także, ale ja i tak bym chciał! Ale... jak zbroja może mówić, panie zbrojo?

Radavant uśmiechnął się w duchu, bo tylko tak mógł.

- W przyszłości powinieneś robić to czego ty naprawdę chcesz, synu, ale szanuj też swoją matkę i jej zdanie, sprawdź wszystkie możliwości. Jesteś młody, jeszcze nie wiadomo co ostatecznie będziesz chciał robić w życiu. A ja nie jestem zbroją, jestem stalowym legionistą i dam ci jedną radę – nie wszyscy moi bracia są tacy jak ja, więc lepiej nie zbliżaj się do nich – zamilkł na moment, po czym zabrał rękę z głowy chłopca. - A teraz idź już z mamą. Nie sprawiaj jej zmartwień.

- Dobrze, panie legionisto! – chłopiec uśmiechał się szeroko, jakby ostrzeżenie Radavanta wcale do niego nie dotarło. - Chciałbym mieć takiego przyjaciela jak ty, takiego błyszczącego!

Dzieci - pomyślał Radavant. - Jeszcze nie wiedzą jak wygląda świat. Tak niewinne. Tak czyste.

- Skarbie, już wystarczy. Nie naprzykrzaj się panu... - matka wyglądała jakby miała się zaraz rozpłakać. - Bardzo, po stokroć pana przepraszam...

- Spokojnie, dobra kobieto, nic się nie stało. – znów spojrzał na chłopca. – Na pewno mielibyśmy wiele zabawy, ale nie mogę nim teraz zostać, lecz możemy sobie złożyć obietnicę. Jeśli w przyszłości zostaniesz mężczyzną, z którego twoja mama będzie dumna, to wtedy ja zostanę twoim przyjacielem. Co ty na to?

- Pewnie! Ale obiecujesz?

Radavant kiwnął głową.

- Tak, a ja nigdy nie łamię raz danego słowa. A teraz idź już i bądź dobrym synem.

Chłopiec kilkakrotnie pokiwał głową i grzecznie odszedł, po drodze machając mu jeszcze na pożegnanie. Pozostali madranie kręcili głowami nie mogąc uwierzyć w to co właśnie się stało, a gdy wychodzili, żywo szeptali między sobą, komentując sytuację. Gdy ostatni z nich opuścił już katedrę, podszedł do niego arcykapłan.

- To było doprawdy niespodziewane, panie Radavancie. Sądzę, że o tej sytuacji będzie jeszcze głośno przez długi czas.

Wojownik spojrzał na niego.

- Nie wszyscy stalowi bracia są tak źli jak się powszechnie uważa. Ta opinia powstała z powodu jednego odłamu legionu, który rozpanoszył się po krainach. Ocenianie wszystkich ich miarą jest tym samym co osądzać wszystkim madran przez jedną grupę bandytów czyniącą rozbój na traktach. Ci z nas, wciąż wierni naszemu królowi Redemesowi, nie czynią innym zła. Proszę o tym pamiętać przy następnym kazaniu.

Arcykapłan kiwnął powoli głową.

- Oczywiście.

- Sądząc po znajomości mojego imienia, mniemam że doniesiono już waszej świątobliwości o sprawie w jakiej przybyłem?

Arcykapłan odetchnął niezauważalnie, rad ze zmiany tematu.

- Zgadza się, ale porozmawiajmy o tym na zakrystii. To nie jest odpowiednie miejsce.

Radavant kiwnął głową.

- Proszę prowadzić, wasza świątobliwość.

*

Arcykapłan rozsiadł się wygodnie w fotelu, na tle olbrzymiego obrazu Parathusa. Bóg, odziany w czarnozłoty kaftan trzymał w dłoniach przedmioty skomplikowanej roboty, które kierował w stronę umiejscowionych na dole wiernych jakby chciał je im podarować. W odróżnieniu od ayan, madranie bardziej cenili sobie kunszt wykonania swoich wyrobów niż materiał, z którego je wykonano. Dla nich i Parathusa misternie wykonana rzeźba z drewna mogła mieć większą wartość religijną niż złoty posążek, jeśli tylko do jego stworzenia użyto odpowiednio wysokich umiejętności. Zakrystia pełna była drobiazgów będącymi prezentami od wiernych, a które to na pierwszy rzut oka nie pasowały do miejsca kultu przez co niezyczliwi mogliby stwierdzić, że miejsce to bardziej przypominało graciarnię niż zakrystię. Dodatkowo niemal każdy mebel został w ten czy inny sposób ozdobiony, a nawet zasłony i dywan nosiły na sobie rozbudowane wzory co idealnie oddawało ducha boga rzemieślników i jego wiernych.

- To stało się podczas ostatniej migracji dusz – zaczął arcykapłan. - Tej nocy błękitny upiór wybił dziurę w tunelu dusz przez którą do naszego miasta przedostała się istna horda zjaw i upiorów. Niestety, wielu członków naszej społeczności straciło tej nocy życie – z tymi słowy na twarzy kapłana pojawił się smutek. – Doprawdy w zły to czas się stało, gdy nasze święte miecze były poza miastem niosąc pomoc potrzebującym. W mieście zostali jedynie adepci, których wiara nie podołała zadaniu.

- Nie jesteśmy wojownikami – przyznał z trudem – techniki walki świętych mieczy nie są dla nas dostępne. Mamy nauczać, zapewniać komfort naszym wiernym i leczyć ich, ale tej nocy wielu z nas żałowało, że nie obrało w swym życiu walecznej ścieżki. Nie byliśmy w stanie odeprzeć upiorów i ochronić wiernych. Było nas zbyt mało, wliczając nawet wyższych rangą kapłanów. Wielu poniosło śmierć lub rany, a gdy koszmarna noc dobiegła końca, mogliśmy jedynie zliczyć poległych i zapewnić im godny pochówek.

- Jednakże, udało nam się ustalić dokąd udały się upiory. Patriarcha Anajasz udał się tam sam w towarzystwie kilku adeptów i potwierdził, że zjawy obrały sobie za cel opactwo Heren, w okolicy pobliskich wzgórz, a wtedy... poniosła nas duma.

Radavant przekrzywił głowę w zaciekawieniu, słysząc te słowa.

- Wielu z nas nie mogło się pogodzić z tym, że nie byliśmy w stanie ochronić miasta i jego mieszkańców. Podniosły się głosy, że zawiedliśmy nie tylko miasto, ale i samego Parathusa. Dni mijały, a my mieliśmy pewność, że nikt w opactwie nie przeżył. Co gorsza, stwory zasiedliły się tam na dobre i stamtąd zarażały okolicę swym wypaczeniem. Mimo, że wydarzenia na taką skalę jak tamtej nocy już się nie powtórzyły, to upiory wciąż nas nawiedzały. Co dwa dni, czasami częściej pojawiały się doniesienia o kolejnych zgonach, a my... nie mogliśmy już znieść bezczynności. Nie mogliśmy znieść zrozpaczonych spojrzeń rodzin zabitych, które prócz smutku wyrażały coś jeszcze - kapłan westchnął przeciągle. - Wyrażały zawód. Czy zaznał pan tego kiedyś, panie Radavancie? Czy czuł pan, że zawiódł? Zawiódł tak straszliwie, że ledwo może znieść sam siebie? Uważam się za duchowego ojca naszej społeczności, a żaden ojciec nie chce widzieć jak jego dzieci umierają i to z mo...z mojej winy. Gdybym nie wysłał wszystkich mieczy nie doszłoby do tego.

- Obmyśliliśmy więc plan, który miał położyć temu kres. Mimo, że nie mogliśmy zniszczyć upiorów, mogliśmy się przed nimi obronić jeśli tarcza naszej wiary nie pęknie. Chcieliśmy odprawić w opactwie święty rytuał Parathusa, który poświęciłby całą okolicę, posyłając potwory w niebyt. Zebraliśmy więc tych, którzy mieli dość odwagi i wyruszyliśmy w kierunku opactwa. Ja... byłem zbyt słaby, by pójść z nimi. Dopiero niedawno wróciłem do siebie po ranach, które odniosłem tamtej strasznej nocy. Nie mogliśmy też zostawić miasta całkowicie bez opieki, więc nasza grupa nie była zbyt liczna, ale mimo to duch patriarchy pozostał niezachwiany. Wyruszył wraz ze swym uczniem, na czele grupy adeptów lecz... zadanie to okazało się ponad ich siły. Nie mamy już sił, by zaatakować ponownie, a i nie możemy dłużej czekać. Z każdym tygodniem kolejni mieszkańcy tracą życie i dlatego właśnie ogłosiliśmy nabór poszukiwaczy przygód i wszystkich, którzy mogliby nam pomóc. Gdyby takowi się nie zjawili, wysłaliśmy posłańców do świętych mieczy, oraz do stolicy, ale to potrwa nim otrzymamy pomoc. Jednakże... skoro to pan, panie Radavancie, zgłosił się do nas, to być może jest dla nas nadzieja?

Radavant widział w jego oczach nadzieję i desperację. Niemożność poradzenia sobie z duszami była moralnym ciosem dla jego religii, a na kapłańskim wiecu nikogo nie będzie obchodzić, że pozwolono na tak wiele ofiar, bo wysłał wszystkie zdolne święte miecze do akcji w terenie, nawet jeśli zrobił to w dobrej wierze. Nie tylko życia mieszkańców Gond były zagrożone, ale i jego własna posada. Wojownik zastanawiał się, którą z tych dwóch rzeczy starzec cenil bardziej.

- Zrobię co w mojej mocy – odparł – ale proszę mi powiedzieć wszystko co wasza świątobliwość wie. Ile widziano duchów i jakie rodzaje, wszystkie szczegóły na ich temat. Czy

miały jakieś cechy szczególne? W jaki sposób zabijały? Każda informacja może okazać się cenna.

Kapłan kiwnął głową, po czym wstał z fotela, podszedł do biurka i wyjął z szuflady rulon pergaminu.

- To zapisane słowa jednego z adeptów, którzy brali udział w wyprawie. Sądzę, że znajdzie pan wśród nich odpowiedź na przynajmniej część swoich pytań.

Gdy arcykapłan podał rulon Radavantowi, ten od razu rozwinął go i wziął się do czytania. Początek nie zawierał żadnych użytecznych informacji, więc jedynie przesunął po nim wzrokiem aż dotarł do momentu gdy ekspedycja dotarła do celu wyprawy.

„Ujrzeliśmy go gdy tylko dotarliśmy do opactwa. Pojawił się kilka metrów przed murami, gdy wyczuł naszą obecność. Błękitny upiór, który w jednej chwili był masą błękitnego światła, a w następnej przezroczystą, błękitną postacią o ludzkim kształcie. Jego twarz w jednej chwili przypominała ludzką, wykrzywioną w szaleństwie, które ją trawiło, lecz w drugiej zmieniała się w trupa maskę z kości, pokrytą zgniłym mięsem wyżerany przez robaki, jakby długo już tkwił w ziemi. Krzyczał na nas w języku, którego nie znaleźliśmy, a w jego głosie brzmiał gniew. Na jego wezwanie zjawiły się inne upiory w tym jeden, którego śmiech był tak przeraźliwy i złowrogi, że wrył się w nasze dusze i już nigdy go nie zapomnimy. Prędko stało się jasne, że błękitny upiór w jakiś sposób sprawował nad nimi kontrolę. Święte symbole Parathusa ochroniły nas przed pierwszym atakiem, ale nasze serce drżały w strachu, gdy atakowały nas bez ustanku, czekając aż osłabniemy.

Wtedy usłyszeliśmy nad nami sokoła. Uznaliśmy to za dobrą nowinę, zwiastun nadziei i zwycięstwa, lecz błękitny upiór także go usłyszał. Wzniósł się wyżej, wyciągnął w jego stronę rękę i pożywił się jego energią. Bezwładne, szare ciało ptaka spadło przed nami niczym obietnica losu, który rychło spotka i nas. Na ten widok, wiara niektórych z nas podupadła. Rechocząca potępieńczo zjawa wniknęła w adepta Britta powodując, że i on sam zaczął się śmiać. Śmiał się tak bardzo, że zdarł gardło i zaczął pluć krwią, lecz nadal nie przestawał. Boję się myśleć, co by się z nami stało gdyby nie patriarcha Ajanus i jego uczeń, biskup Ebret. Recytując modlitwę dziękczynną Parathusa, wyrwali potwora z ciała Britta i przegonili ją w siną dal i chwilowo powstrzymali wściekłe ataki błękitnego upiora i innych zjaw, dając nam czas na ucieczkę. Ich wiara zasklepiła dziury spowodowane naszym zwątpieniem, chroniąc nas przed strasznym losem, lecz ich bohaterstwo miało wysoką cenę. Zbyt wysoką.

Biskup Ebret poległ w walce pożarty przez zjawy, zaś patriarcha nigdy nie odzyska już władzy w prawej ręce. Wstyd, który czuliśmy wtedy uciekając, chronieni przez nich, będzie nam towarzyszył do końca naszych dni. Adept Britt przeżył, choć nie jest już zdolny do wykonywania zawodu. Mimo opieki i najlepszych uzdrowicieli, których mu zapewniono wciąż czasami śmieje się głosem tak bardzo podobnym do tego, który słyszeliśmy wtedy, wywołując ciarki na plecach kapłanów i adeptów. Niech ta historia, będąca świadectwem naszej porażki posłuży przyszłym pokoleniom adeptów, by przykładali się do nauki, bo gdy stawia czoła zjawom przemierzającym świat, nie znajdują u nich miłosierdzia.”

Gdy skończył czytać, zwinął pergamin i odłożył go na pobliski stół.

- Sądzę, że wiem już wszystko co było mi potrzebne. Zajmę się tym. Proszę być spokojnym.

Arcykapłan skinął głową, wziął rulon i schował go na miejsce.

- Odnajdę spokój, gdy pan wróci i powie, że już po wszystkim. Nie ukrywam, że... początkowo pański widok wzbudził we mnie niepokój, ale teraz cieszę się, że ktoś o pańskich umiejętnościach odpowiedział na nasze wezwanie. Jest pan naszą największą nadzieją, szansą na pomszczenie poległych i uchronienie pozostałych niewinnych od okrutnego losu jaki może ich spotkać. By pomóc w pańskiej misji jestem skłonny podarować panu wszystkie święte przedmioty, które może zapewnić nasz kościół.

Radavant pokręcił głową.

- Dziękuję za ofertę, ale to nie będzie konieczne, wasza świątobliwość. Posiadam już wszystko co potrzebne do wykonania tego zadania. Pieczęć stalowego legionu będziemy wystarczającą ochroną. Proszę jedynie wskazać na mapie lokalizację opactwa.

- Tak... oczywiście – odparł starzec sięgając do szuflady po kolejny rulon pergaminu, tym razem przedstawiający mapę krain. Rozłożył ją na stole, po czym wskazał właściwe miejsce. – To tutaj, panie Radavancie. Niespełna dzień drogi od miasta.

Wojownik przyjrzał się mapie.

- W pobliżu Płomiennych Wzgórz, rozumiem – kiwnął głową. – W takim razie ruszam natychmiast.

Z tymi słowy podał kapłanowi rękę, który ujął ją z wahaniem. Mężczyzna wzdrygnął się niezauważalnie gdy zimno jego stalowej rękawicy nieprzyjemnie skojarzyło mu się z upiornym chłodem, którym emanowali umarli.

Jestem po prostu przewrażliwiony – pomyślał, odprowadzając wojownika wzrokiem, gdy wychodził z zakrystii.

- Powodzenia – rzucił jeszcze za nim.

Stalowy olbrzym odwrócił się na moment, kiwnął mu głową i opuścił zakrystię. Arcykapłan usiadł ciężko na fotelu i odetchnął głęboko.

Powierzać bezpieczeństwo mieszkańcom stalowemu legionowi... - pokręcił głową - świat się zmienia. Oby tylko mu się udało.

*

Wyczuł, że jest już w pobliżu opactwa jeszcze zanim je dostrzegł. Smród rozkładających się ciał zwierząt i pechowych ludzi, których zwłoki wały się tu i ówdzie po okolicy, oraz nienaturalna, grobowa wręcz cisza, zupełnie jakby znalazł się na cmentarzu lub na polu niedawnej bitwy. Do jego uszu nie dotarł nawet pojedynczy dźwięk jakiegokolwiek owada czy ptaka. Jedyne wiatr przedzierający się od czasu do czasu przez gałęzie drzew przypominał mu, że wciąż znajduje się w świecie żywych. Były to typowe objawy obecności upiorów, które wysysały życie ze wszystkiego co miało nieszczęście znaleźć się w pobliżu. Większość z mijanych przez niego zwłok rozkładało się już jakby leżały tu od kilku tygodni, choć naprawdę mogły paść ofiarą duchów nawet wczoraj. Każde ciało, z którego wysmano energię życiową starzało się z godziny na godzinę tak, jakby mijały całe dni lub nawet tygodnie. W tym tempie, zwykle po dwóch miesiącach po szkieletach pozostawał jedynie pył, zaś kości duchownych, którzy dwadzieścia dni temu zginęli w opactwie, na pewno bieleją już w promieniach słońca i cieniu budynków.

Gdy dostrzegł w oddali rysujący się kształt klasztoru, zauważył także pierwszą szarość trawy - oznakę, że upiory zabiły już w okolicy wszystko co zapewniało im bardziej dostępną, smaczniejszą energię i przerzuciły się na rośliny. Gdyby nikt nie zrobił z nimi porządku przez wystarczająco długi czas, całe wzgórze pokryłyby się martwą szarością, liście opadłyby z uschniętych drzew i popękały skruszałe, kwiaty zmatowiałyby i straciły płatki, a ziemia stałaby się jałowa aż po kres czasu. Taki obraz wysanego do cna życia można było zaobserwować w okolicy wielu opuszczonych miast krain, ale jak do tego doszło wciąż pozostawało zagadką. Tłumy historyków, badaczy i uczonych próbowały odkryć kryjącą się za tym prawdę, ale tak jak w przypadku zmian księżyca, nie mogli zrobić nic więcej prócz akceptacji tego faktu. Mimo to, znajdowali się tacy, którzy wciąż próbowali rozwiązać tę zagadkę, kuszeni tajemnicą

pustych stron historii. Nie potrafili przejść obojętnie obok faktu, że od roku czterystego trzeciej ery, świat całkowicie oślepl na pięćset lat i nikt nie wiedział co się w tym czasie wydarzyło. Nie ostał się żaden zapisek, księga, pergamin, czy zwój. Nie przetrwała żadna opowieść, legenda, czy wspomnienie. Zupełnie jakby pióro historii zamarło na całe pięć wieków. Jakby nad całym światem i wszystkimi jego mieszkańcami zapadło jedno wielkie widmo zapomnienia.

Nikt nie wiedział co się w tym czasie wydarzyło, ale każdy widział zmiany, które nastąpiły. Nowe ludy i miasta, nowe odkrycia i wynalazki i tak wiele dawnej chwały, którą z jakiegoś powodu utracili. Niektóre miasta które pamiętano z czasów przed Pustymi Wiekami, już nie istniały. Podobnie jak inne społeczności powstałe w tym okrytym tajemnicą okresie, których nie znali nawet nazwy ani daty założenia, a które dziś były tylko ruinami lub opustoszałymi miastami widmo. To właśnie wokół nich rozciągały się największe pasma szarej śmierci, jak zaczęto ją nazywać. Świadectwa obecności dusz, które krążyły po pustych budynkach, niczym widmowi mieszkańcy skazani na wieczne potępienie.

Zwykle tam pozostawiali, krążąc od jednego opustoszałego miasta do drugiego. Zjawisko to nazywano migracją dusz, lecz czasami pojawiały się komplikacje, tak jak teraz w pobliżu Gond i dziwny trafem, bardzo często wspólnym punktem tych wydarzeń były błękitne upiory, bardziej spragnione energii żywych niż inne. Bardziej inteligentne i o wiele potężniejsze. To właśnie one były głównym celem Radavanta i jego braci, a raczej części z nich, tych którzy zachowali dawną osobowość.

Wraz z kolejnymi minutami jazdy zarys opactwa stawał się co raz wyraźniejszy, aż w końcu było mu dane dostrzec nieco więcej szczegółów. Jak każdy budynek tego typu po środku niczego, był otoczony prostym murem obronnym mającym za zadanie ochronić go przed bandytami i dziką zwierzyną. Ponad obwarowania wybijały się jedynie dwa większe budynki, główna świątynia i siedziba opata, zaś pozostałe mniejsze, były zapewne rozsiane po całym terenie klasztoru.

Gdy znalazł się mniej więcej kilometr od celu, po raz pierwszy usłyszał jego nowych lokatorów. A potem zobaczył. Szare, przezroczyste sylwetki krążące wokół budynku niczym smugi szarości i czerni, przesuwające się na tle klasztoru i jasnego nieba, skowyczące co chwila przeraźliwie. Wielu mających się za odważnych, natychmiast zawróciłoby konia i uciekłoby w pełnym galopie, ale nie Radavant. On widział je już nie raz i nie raz z nimi walczył. Wiedział, że jeśli ktoś miał się bać, to one, a nie on.

Nagle, jedna ze smug oderwała się od budynku i bez ostrzeżenia pognąła w jego kierunku. Zawodzenie upiora stawało się co raz głośniejsze, gdy błyskawicznie skracał dystans. Koń Radavanta poruszył się niespokojnie, ale dobrze przeszkolony pozostał na miejscu. Ufał, że jego pan go ochroni.

Radavant zsiadł z brzękiem zbroi i zasłonił zwierzę swą piersią. Dobył miecza o ciemnozłotej, zdobionej rękojeści i niebieskawych glifach rozprowadzonych po całej jego długości i przyjął postawę do walki.

Upiór był już blisko. Wojownik widział jego nienaturalnie wykrzywioną i rozciągniętą twarz, puste oczodoły i szare łapy wyciągnięte w jego stronę. Zjawa otworzyła paszczę, z której ziała czern, gdy wyczuła życie bijące spod jego pancerza. Dla niej, stal nie była przeszkodą. Dla niej był tylko pojemnikiem z energią życiową. Przyspieszyła. Nie ulękła się go, tak jak bali się go mieszkańcy Gond. Ruszyła do ataku.

Radavant spokojnie pozostał w pozycji prawego skrzydła, unosząc miecz z prawej strony ciała, i celując czubkiem w przeciwnika. Czekał odpowiedni moment. Zjawa była co raz bliżej. Jej wycie stawało się co raz głośniejsze, a gdy znalazła się ledwie dwadzieścia metrów przed nim, wykrzywiła twarz w paskudnym grymasie i unosząc prawą szponiastą łapę do góry, zaszarżowała.

Radavant doskonale wyczuł kiedy znalazła się w zasięgu i wyprowadził piękne, precyzyjne cięcie na ukos. Zjawa zaskowyczała przecięta w pół, a jej dwie eteryczne części poleciały na boki, minęły go i spadły na ziemię. Wyglądało to tak jakby sam był ostrzem, a zjawa rozpadła się na części od samego zderzenia.

Wojownik przeniósł swe spojrzenie na leżącego upiora. Stwór nie został przecięty równo. Ostrze trafiło go przy szyi, przez co mniejsza połowa składała się jedynie z części tułowia i jednej łapy, zaś druga z głowy i reszty eterycznego ciała. Powierzchnia rozcięcia jarzyła się delikatnym blaskiem, a wykrzywiona twarz upiora wyginała się powoli, jakby w szoku. Radavant wie wiedział, czy zjawy czuły emocje, ale gdyby czuły, to tak mogłyby właśnie wyglądać.

Nie zwlekając, podszedł do stwora i płynnym ruchem wbił mu miecz w głowę. Tym razem usłyszał tylko cichy jęk, może westchnienie, a potem zjawa rozplynęła się na wietrze i zniknęła.

Odwrócił się w stronę klasztoru i dostrzegł kolejne smugi lecące w jego stronę. Pozostałe upiory już go wyczuły. Jego energia życiowa była dla nich niczym światło w ciemności. Niczym

najlepsza pieczeń mistrza kucharskiego, przyniesiona wygłodzonym żołnierzom. Ruszyły na niego cała chmarą.

Koń Radavanta drgnął ponownie, ale był chroniony. Pieczęć stalowego legionu chroniła go tak samo jak pancerz jego właściciela, a energia Radavanta była znacznie silniejsza niż zwierzęcia. Był lepszym kąskiem dla nadciągających zjaw i choć nie powinno do tego dojść, to nie chciał, by choć niewielka ich część oddzieliła się od grupy i próbowała go zaatakować. Wolał się zająć wszystkimi na raz.

- Jedź – powiedział do konia, po czym klepnął go znacząco w zad na co wierzchowiec zaparskał i posłusznie pognął do tyłu na oddaloną polanę.

Radavant kiwnął głową oceniając dystans, po czym odwrócił się i pobiegł na pobliskie wzgórze, by stawić czoła zjawom. Miał idealne warunki do walki. Z łatwością dostrzegał szare punkty na tle błękitnego nieba, nie przeszkadzała mu mgła, ani drzewa, ale w innych warunkach, dla niechronionych świętym pancerzem awanturników takie miejsca były śmiertelnie niebezpieczne. Zjawy wyczuwały życie długo przed tym nim człowiek mógł je zobaczyć lub czasami nawet usłyszeć. Rzuciły się na żywych niczym chmary komarów wysysając ich do ostatniej kropli, a niektóre z nich potrafiły zachować ciszę pozwalającą na atak z zaskoczenia.

Radavant ponownie chwycił ostrze oburącz i uniósł je nad głowę, za siebie i czekał. Dziesięć... dwanaście, przeliczył je szybko. Tak, taka liczba mogłaby zagrozić mieszkańcom Gond, ale nie dostrzegł między nimi błękitnej zjawy.

To nic. Znajdzie ją później.

Obserwował je uważnie. Tuzin lecących, zgniłych, trupich masek wyginających się w szaleństwie. Istna kakofonia zawodzenia, pisków, krzyków i przeraźliwie głośnego śmiechu. Śmiech dochodził od jednej z nich, lecącej z lewej strony. To musiała być zjawa opisana w raporcie.

Radavant zacisnął dłonie na mieczu, gdy przysłoniły słońce, a ich cień padł na wzgórze i na niego. Wataha wilków zwykle starała się okrążyć swą ofiarę wykorzystując przewagę liczebną, ale one były inne. Atakowały frontalnie, bezmyślnie i nie dbając o własne bezpieczeństwo. Sądziły, że nie może im nic zrobić. Że miały go jak na dłoni.

Mylły się.

Radavant rozpołowił pierwszego upiora, tak jak poprzedniego i błyskawicznie przeszedł do kolejnego cięcia, rozpraszając następnego ciosem w głowę. Nie mógł jednak trafić dwunastu na raz.

Pozostałe wpadły prosto na niego, ale odbiły się od pancerza z głośnym metalicznym hukiem. Oszołomione od zderzenia zatrzymały się na chwilę, gdy pierwszy raz podczas ich przeklętej egzystencji, poczuły kontakt fizyczny. Nowe doznanie je ogłupiło, ale Radavant nie dał im czasu. Ciął szerokimi, szybkimi, ciosami, nie tracąc chwili na obronę. Atakował precyzyjnie i skutecznie, a upiory zniknęły jeden po drugim. Tańczył między nimi niczym tancerz wojny, a w tańcu tym kolejne smugi padały na ziemię i rozpraszały się w powietrzu. Co dziwne, jedna ze zjaw widząc co się dzieje, postanowiła uciec, ale Radavant chwycił ją za łeb pancerną rękawicą i przebił ostrzem. Ona również rozproszyła się w powietrzu, a cała walka nie trwała dłużej niż kilka uderzeń serca.

Gdy ostatni z upiorów padł, Radavant odetchnął głęboko. A raczej zdawało mu się, że tak by normalnie zrobił. To było niczym bóle fantomowe w odciętej kończynie. Czasami się ją czuło, mimo że dawno już jej nie było. Westchnął w duchu. Ileż takich wrażeń będzie mu przypominać o tym co było? O tym za czym tak tęsknił?

Schował miecz do pochwy i omiół wzrokiem okolicę, pogrążając się w zamyśleniu. Pogoda była piękna. Promienie słońca kąpały klasztor w swym blasku, zieleń w oddali wciąż oszałamiała soczystymi barwami, a na czystym, błękitnym niebie nie było widać nawet jednej chmury. Widok ten tak bardzo kontrastował z tragedią, która wydarzyła się tu trzy tygodnie temu i z walką ledwie sprzed chwili.

Stojąc na tym wzgórzu, Radavant bardzo chciał poczuć orzeźwiający podmuch wiatru. Widząc tę okolicę, jego umysł podpowiadał mu, że powinien go poczuć, przypominał, że w scenerii brakowało właśnie tego. Szczątkami pamięci kojarzył jakie to było uczucie. Pamiętał jak to czuł, w bardzo, bardzo odległych wspomnieniach.

Pokręcił głową. To nie był czas na nostalgię. Jego cel wciąż pozostawał w klasztorze. Ruszył więc w stronę konia, wsiadł na niego i pojechał dalej.

W pobliżu głównej bramy dostrzegł pierwszy, leżący w trawie szkielet. Mnich musiał biec do środka z pola, ale dopadły go wcześniej. To i tak nie miałyby znaczenia. Mury klasztoru i tak nie mogłyby go ochronić.

Radavant zsiadł z konia i przywiązał go do pobliskiego drzewa. Nie było sensu prowadzić go po klasztorze, a dzięki pieczęci wiedział, że i tak nic mu nie będzie.

Spojrzał w stronę budynku i dostrzegł, że wrota były lekko rozchylone. Poklepał ogiera po szyi i ruszył w ich stronę. Z łatwością otworzył masywne wrota i przedostał się na główny dziedziniec.

Ciasno rozstawione kamienne budynki wyglądały jakby wciąż były zamieszkałe. Nie było widać żadnych oznak śmierci, jak w przypadku zwykłej grabieży. Nie było krwi, walających się ciał, rozrzuconych po okolicy przedmiotów, wybitych okien, czy szumu skrzydeł ptaków dziobiących padlinę. Tylko cisza. Absolutna, śmiertelna cisza i szum wiatru przemykającego między budynkami.

Nie wiedział czemu błękitny upiór jeszcze go nie zaatakował, ale był pewien, że tu jest. Czuł jego obecność. Gdzieś z przodu, w głównej świątyni, gdzie mnisi codziennie oddawali się modlitwie.

Ruszył tam chyżo, nie tracąc czasu lecz tym razem drogę znaczyły mu szkielety. Odziane w proste szaty mnichów, leżały pokotem między kamiennymi barakami, przy murkach i niewielkim ogrodzie, teraz suchym i pozbawionym życia. Po ich ułożeniu ocenił, że część duchownych próbowała się schronić w głównej świątyni, ale inni ewidentnie chcieli uciec za mury. To dowodziło, że musieli zostać zaatakowani z każdej strony, w skutek czego ogarnęła ich panika.

Nieszczęśnicy – pomyślał Radavant, zatrzymując się przy jednym ze szkieletów. Mężczyzna, sądząc po budowie kośćca, próbował zasłonić się przed niewidocznym napastnikiem, o czym świadczyły skrzyżowane ręce.

Wkrótce po tym gdy minął mniejsze zabudowania dotarł do głównej świątyni. Zbudowano ją na kształt prostokąta z witrażami zamiast okien i wieżą na środku. Tuż nad drewnianymi wrotami okutymi ciemną stalą wisiał symbol Parathusa – młot wpisany w okrąg i otoczony gwiazdami. Radavant był ciekaw, czy madrański bóg przejął się losem swych sług? Czy w ogóle wiedział co tu się stało? Czy był obecny? Niestety, na te i wiele pytań, śmiertelnicy nigdy nie zaznają odpowiedzi. To jednak nie zmieniało faktu, że ekspedycja wysłana przez arcykapłana, właśnie tutaj miała odprawić święty rytuał, który miał odpędzić złe duchy. To samo jednak mogli zrobić sami mnisi, a to że nie zdążyli dowodziło, że bez wątpienia zostali

zaatakowani z zaskoczenia. Przebłyśki inteligencji w atakach tych stworów w wielu przypadkach świadczyły o obecności błękitnych upiórów.

Radavant jednak nie potrzebował dodatkowych dowodów. Doskonale wyczuwał obecność potwora gdzieś za wrotami. Zdecydowany, dobył miecza i podszedł bliżej. Wrota katedry nie domykały się. Blokował je szkielet nieszczęsnego mnicha, bielejący w słońcu. Wojownik odsunął jego szczątki i wszedł do środka.

Sala przypominała wnętrze katedry w Gond lecz znacznie mniejsze. Zbudowano ją z tego samego grafitowego kamienia. Na kolumnach wspierających zamontowano świeczniki, a z sufitu zwisały liczne żyrandole. Na środku pomieszczenia dostrzegł rzędy ław i kolejne szkielety, ale tym razem nie byli to mnisi. Nieszczęśnicy byli ubrani różnorodnie, jak kupcy, czy podróżnicy. Cóż za fatum ich tu sprowadziło akurat tej nocy? Tego Radavant nie wiedział. Widział jednak kto stał za atakiem i gdzie się znajdował.

Liczne ławy wypełniające ją, teraz były pełne białych kości w liczbie, która dowodziła, że w czasie ataku musieli gościć jakąś grupę podróżnych. Cóż za fatum ich tu sprowadziło akurat tej nocy? Tego Radavant nie wiedział. Widział jednak kto stał za atakiem i gdzie się znajdował.

Wyżej, tuż przy suficie, po prawej stronie sali zauważył dziwny, unoszący się, niebieski kształt. Stwór był wyraźnie większy od zjaw, które pokonał wcześniej. Błękitny, ale i przezroczysty, tak, że widać było znajdujący się za nim kamień. Krążył pod sufitem od jednego końca budynku do drugiego i mamrotał coś pod nosem. Na dźwięk kolejnych kroków Radavanta, odwrócił się nagle i wlepił weń swoje ślepie.

Z tej odległości, legionista nie widział szczegółów zjawy, ale był pewien, że na niego patrzy, czuł na sobie jej wzrok i był gotowy, gdy zaatakowała. Pomknęła w jego stronę tak jak poprzednie. Radavant przyjął postawę w oczekiwaniu, lecz gdy upiór się zbliżył, a wojownik złożył się do cięcia, zjawa zanurkowała unikając jego ostrza i grzmotnęła go w nogę.

Metal zabrzączał, ale nie pojawiła się na nim nawet jedna rysa. Zjawa zwolniła na moment, jakby zaskoczona i przez to nie była w stanie uniknąć kolejnego ciosu. Radavant grzmotnął ją płazem miecza w głowę, odrzucając ją do tyłu. Wyciągnął rękę w jej stronę, by ją pochwycić, ale umknęła w górę i odsunęła się na bezpieczną odległość.

Obserwowała go, a i on widział ją teraz dokładnie. Nie przypominała rozkładającego się ciała, tak jak poprzednie. Widział twarz starego avara, zmęczonego i sponiewieranego życiem, ale wciąż avara. Mógłby spotkać kogoś takiego w każdym mieście. Jego ubranie było poszarpane

i w nieładzie, nogi połączyły mu się w jeden kształt, przypominający zwisający mu od tułowia, poszarpany i smagany wiatrem płaszcz, a dłonie czasami zmieniały się w błękitne, lśniące pazury stworzone ze światła.

Jego twarz wyrażała zaskoczenie i rozdrażnienie. Krzywiła się w szaleństwie, gdy krążył i obserwował.

- Mahalassan nira! – wykrzyczał gniewnie. – Raitiri arauben, hire estero! Reibine terasara ty irbedor!

Radavant słuchał jak wyrzuca z siebie kolejne słowa. Niezrozumiałe niemal dla każdego kto mógłby je usłyszeć. To o tym języku wspominał raport adeptów i jedynie nieliczni potrafiliby go zrozumieć.

A Radavant był jednym z nich.

- Tyle gniewu i zniszczenia! – krzyczał duch, przecinając powietrze pazurami. – Tyle złego doświadczyliśmy, tyle przygotowań na marne, tyle śmierci i rozpacz. DLACZEGO NAS TO SPOTKAŁO?!

Radavant milczał. Nie chciał mu przerywać i dlatego nie odpowiedział od razu. Był zszokowany przytomnością umysłu upiora. Wszystkie, które do tej pory spotkał były dzikie niczym zwyczajne upiory i dopiero po spętaniu odzyskiwały nieco świadomości. Ten był inny, a to o czym mówił niezaprzeczalnie kojarzyło mu się z celem jego misji. Musiał wiedzieć.

- O czym mówisz? – zapytał go Radavant, gdy upiór zamilkł. - Wyjaśnij!

Zjawa pokręciła głową.

- Zawiedliśmy – zaskomlał. – Wszyscy zawiedli. Umarli i stoczyli się w niebyt, skazani na tułaczkę po świecie, spowici szaleństwem, nie mogąc zaznać spokoju. DLACZEGO NAS TO SPOTKAŁO?

Radavant był już pewien. On na pewno mówił o czasie, którego tajemnicę chcieli rozwikłać. Kimkolwiek był, musiał zachować część wspomnień z odległych wieków. Musiał go zapytać...

Lecz nim zdążył to zrobić, upiór dostrzegł pieczęć na jego napierśniku, a jego oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu i gniewie.

- Tyyy... świętokradztwo! – wykrzyczał. - Ten pancerz jest święty! Tyle przygotowań, by jakiś rabuś grobów go ukradł? TO NIE NALEŻY DO CIEBIE!

Z tymi słowy zanurkował i rzucił się na niego z wściekłością wypisaną na widmowej twarzy. Ponownie minął cięcie Radavanta, ale wtedy ten trafił go w twarz pancerną rękawicą. Zjawa odbiła się do tyłu, ale przemknęła szybko po łuku i zaatakowała raz jeszcze.

I oberwała płazem miecza prosto w twarz, tak, że aż wyleciała przez ścianę świątyni. Sekundę później powróciła i znów wściekle rzuciła się na niego, ale Radavant znów ją trafił. Tym razem odbiła w górę i spojrzała na niego wzburzona.

- Złodziej! Rabuś! Jak śmiesz! Ta zbroja...

Nim dane mu było skończyć, Radavant wyciągnął w jego stronę dłoń, a wtedy upiór natychmiast umilkł. Cała jego sylwetka ścisnęła się jakby ktoś chwycił go niewidzialnym sznurem i związał tak mocno jak tylko potrafił. Między dłonią Radavanta, a zjawą wytworzyła się ledwie zauważalna, gęsta masa materii, jakby powietrze zagęszczone tak bardzo, że aż widoczne gołym okiem, w którego wnętrzu błyszczały jasne, błękitne punkciki.

Wojownik pociągnął dłoń w swoją stronę, a wtedy zjawa zsunęła się na dół aż w końcu zatrzymała się tuż przed Radavantem, który wciąż celował w nią dłonią, jakby trzymał ją z daleka za gardło.

- Mówiłeś o pustych wiekach. Co o nich wiesz?

Upiór próbował się szarpać, ale więzy go trzymające były zbyt silne. Mocno przekręcił głowę to w jedną, to w drugą stronę, tak że gdyby był avarem, to z pewnością skręciłby sobie kark, ale nic nie powiedział. Radavant zapytał więc raz jeszcze, ale znów nie otrzymał odpowiedzi.

W końcu, w przypływie desperacji zapytał go w jego języku. Tym, którego przez cały czas używał.

- Hasar terenasu reter. Alea saree?

Gdy słowa te rozbrzmiały w katedrze, upiór spojrzał na Radavanta przytomniej, a wściekłość zniknęła z jego oblicza.

- Endiriański... minęły całe wieki nim ostatni raz go słyszałem – przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. – Piękny, szlachetny język... nie wiem skąd go znasz. Nie powinieneś go znać. Nie w tych czasach.

- Znam go, bo to mój ojczysty język – odparł Radavant. – Należy do mojego ludu, tak jak pancierz który noszę. Jest mój i nikomu go nie ukradłem.

- Łżesz! – ryknął upiór. – To niemożliwe... katastrofa... wielka katastrofa... – roześmiał się szaleńczo, a kiedy echo jego śmiechu zniknęło z murów opactwa mówił dalej jak gdyby nigdy nic - ... objęła wszystkich. Każdy przepadł. Nowy świat. Magia nic nie dała. Przygotowania nic nie dały, przegraliśmy. Nikt nie mógł przetrwać.

- Mylisz się – zaprzeczył Radavant. – Ci, którzy wtedy przetrwali wciąż żyją, ale nie pamiętają co się wydarzyło. Szukamy odpowiedzi, a ty zdaje się, że wiesz co się stało. Mów, to może będę mógł przywrócić ci zmysły.

Upiór milczał.

- Przywrócić mnie? To niemożliwe, głupcze! Nie wiem co mi robisz, że jestem tak przytomny jak... od nie pamiętam kiedy, ale wypuść mnie czym prędzej. Nieświadomość... jest łatwiejsza. Z każdą sekundą uświadamiam sobie czym jestem i co z robiłem, co jest przede mną... pozwól mi wrócić w otchłań pustki. Błagam cię. Nie mogę myśleć, ten ból...

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz – odparł Radavant. – Jesteś pierwszym od trzystu lat, który coś wie o pustych wiekach. Mów wszystko co wiesz. Mów co się wydarzyło! Co się z nami stało? Dlaczego jesteśmy tacy jacy jesteśmy? Jak przywrócić nasze dawne ciała?!

Radavant uległ emocjom. Takie odkrycie. Tak długo szukali. To mógł być strzał w dziesiątkę. W obliczu takiej perspektywy nawet jego opanowanie szlag trafił.

Upiór patrzył na niego przez chwilę.

- Może i masz rację. Może i jesteś z tych, którzy przetrwali. Pancierz cię chroni, dla ciebie nie jest tylko kawałkiem stali, inaczej dawno wyssałbym z ciebie życie. Powiem ci. Powiem ci wszystko co wiem, ale obiecaj, że po tym mnie uwolnisz, każda minuta... nawet sobie nie wyobrażasz jakim jest dla mnie cierpieniem. Nie chcę czuć, nie chcę pamiętać...

- Zgoda – odparł natychmiast Radavant. – Uwolnię cię. Mów.

Ułga na twarzy upiora była aż nadto widoczna. Zamknął na chwilę oczy, po czym przemówił cichym głosem.

- Tragedia. Wielka tragedia. Zagłada, która nadchodziła, a którą przewidzieliśmy... chcieliśmy się przygotować, ale nie udało nam się – spojrzał na niego – nie w pełni. Magia była zbyt silna byśmy mogli się jej oprzeć, a wtedy świat się zmienił. Pamiętam mniej niż chciałbyś wiedzieć, wojownika, nie znam nawet szczegółów. To fakty, których jestem pewien, ale nie znam szczegółów. Jednak w mojej pamięci jest jeden detal, który może ci pomóc dojść do prawdy...

Wiem, że to od niego się zaczęło i na nim się skończyło. Jeśli chcesz odkryć tajemnicę pustych wieków, musisz go znaleźć. Uwolnij moją rękę, muszę to narysować.

Radavant zgodził się bez wahania, a wtedy dłoń upiora zmieniła się w błękitne szpony, które wskazały na kamień posadzki przed nim. Ruchami palca rył w kamieniu linię za linią, aż powstał symbol. Kula z ostrzami wystającymi z niej w pionie i poziomie, a wokół niej okrąg stykający się z czubkami mieczy.

- Znajdź to, a znajdziesz odpowiedzi, których szukasz.

Radavant patrzył, a jego duszę wypełniała ekscytacja i podniecenie. Wskazówka. Bogowie, wskazówka!

- Gdzie to znaleźć?! Gdzie zacząć?

Zjawa pokręciła głową.

- Nie wiem, wojowniku. Nie pamiętam. Szukaj wszędzie. Miej oczy otwarte. To jedyne co mogę ci poradzić. Moje wspomnienia nie sięgają głębiej.

Nagle, upiór zawył przeszywająco i zwinął się w bólu, a jego twarz wykrzywiła się.

- Wypełnij obietnicę – wycharczał – ból... świadomość, nie mogę tego dłużej...

- Jesteś pewien, że nic więcej nie wiesz?

Zjawa warknęła gniewnie.

- Takk, uwolnij mnie! Albo moja świadomość ostatecznie zniknie! I stanę się czymś nawet gorszym od potwora, którym teraz jestem!

Radavant nie mógł spełnić obietnicy danej upiorowi. Nie chciał kłamać, ale złożyłby tysiąc fałszywych obietnic gdyby dzięki temu mógł odkryć prawdę. Zamiast uwolnić zjawę ze swego uścisku, sięgnął drugą ręką do sakwy i wy dobył z niej szare naczynie przypominające alchemiczną fiolkę, lecz wykonaną z grubego metalu i pokrytą tajemnymi symbolami. Tuż pod zamknięciem z metalowym zawiasem widniał okrąg ciemnoniebieskich kamieni. Ruchem palca otworzył wieczko i gestem dłoni skierował duszę do środka. Upiór zniekształcił się i zafalował, a jego twarz wygięła się w gniewnym grymasie. Zaryczał przeraźliwie gdy fiolka zaczęła wsysać go do środka, jakby jakiś wielki potwór zasysał powietrze z całej okolicy. Gdy zniknął, Radavant zamknął wieko fiolki i zatrzasnął zaczepy. Przez chwilę stał tak w bezdennej ciszy, która przepełniła świątynie. Ciszy wypełnionej szeptem przeszłości.

Gdy w końcu schował fioletową z powrotem do sakwy przyjrzał się raz jeszcze symbolowi, który narysował upiór i zapisał go w swej pamięci. Tuż pod rysunkiem zebrała się kałuża, z powodu dziury wybitej w dachu. Nie mógł jej nie zauważyć, tak jak i nie mógł nie zauważyć w niej swego odbicia, oraz błękitnego, jasnego światła bijącego z wizury jego hełmu, w miejscu gdzie powinny być oczy. Światła tak podobnego do blasku upióra, którego przed chwilą schwytał.

Westchnąwszy w duchu wstał i skierował się do wyjścia. Jego kroki odbijały się echem wśród ścian.

Autor: Patryk Jaroń